

Gazet Gmina

Nr 3(11)/2012

ISSN 2084-6932

Kociot



GAZETOWNIA

Wydawca

Plstacja Media Katarzyna Bogucka

biuro@pistacjatv.com

www.pistacjatv.com

Zespół Redakcyjny

Katarzyna Bogucka

Joanna Dudek-Ławecka

Jolanta Wroczyńska

Ilustracje

(wiedźma)

Paweł Siwochowicz

(Pingwin)

Aleksander Bogucki

Opracowanie graficzne i skład

Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna

Agnieszka Betkier

Biuro reklamy

Sylwia Morawska

tel.kom.668 895 636

Wydawnictwo zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w piśmie Gazetownia bez zgody Wydawcy jest zabronione na podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b prawa autorskiego.

Copyright© Plstacja Media 2012

004-005

Od redaktora Jolanta Wroczyńska

W skrzynce *Przepis na zupeł marchewkową za 8 zł*

007

Drogowskazy

Niestandardowo znaczy skutecznie

Z Hanną Wieloch, o tym, jak się odnaleźć na rynku pracy a.d. 2012 rozmawia Carol Wolff

011

Bajka dla dorosłych

Danie z woka Kasia Puchalska

016

BezKresy

Polska – tęsknota za tygłem narodów Joanna Dudek-Ławecka

022

Na Papierze

Szynka Kasia Bartsch-Cielebon

026, 029

Od Czapy

Spacer Tamara Kuświk

Z pamiętnika Karolina Dyja

032

Piurety wokół słońca Joanna Wroczyńska

034

Wiedźma powieść w odcinkach część V

Kasia Bartsch-Cielebon

041

Wydarzenie

Odeszła Noblistka

042

Przepis na domowe Koty Antek

044

Patelnia czyli niezły kocioł Katarzyna Drzazgowska

046

Wywiad z Małgorzatą Ostrowską – Królikowską

Wszystko ma swój czas i miejsce Katarzyna Bogucka

054

SzortMat

Kotły na Kamczatce

059

Bajki Nowe

Kociółek Janusz Gajek

Kocioł, garnek, rondel, tygiel, wok, patelnia – czyli w marcu jak w garncu. Do tych kilku naczyń kuchennych powrzucaliśmy wiele różnych znaczeń, próbując przy ich pomocy opisać otaczające nas zjawiska, bawiąc się jednocześnie bogactwem semantycznym naszego języka. Wiemy jednak, że do serca mężczyzny najprostsza droga prowadzi przez żołądek, za to do serca kobiety dotrzeć można bardzo różnymi ścieżkami – o czym opowiada danie z woka. Do zrobienia wielkanocnej szynki nie trzeba kupować kotła, można pożyczyć, ale warto spełnić marzenia, aby mieć szansę zacząć nowe życie. Czasem jedno słowo usłyszane w dzieciństwie powoduje „gęsią” skórę w dorosłym życiu, a spacer zmusza do refleksji, czy potrafimy wokół siebie stworzyć świat bez porównań i krytyki. W tym numerze otwieramy dwie nowe rubryki – bezkresne wędrówki, które zabiorą nas w podróż do tygla narodów, języków i tradycji, pielęgnowanych od pokoleń i ocalonych we wschodniej Polsce oraz – piruety wokół słońca, które tak nami zakręcą, iż uwierzemy w słowa Marthy Graham, że „gdy tancerz tańczy, ziemia pod nim jest święta”. Ponadto zapraszamy do lektury wierszy, bajek i opowieści w odcinkach. A na koniec pytanie: czy ktoś kieruje ruchem na warszawskiej patelni? Odpowiedź w środku. **J.W.**



TWOJĄ MYŚL PRZEKAŻEMY INNYM...



Przepis na zupę marchewkową za 8 zł

8 marchewek
8 ziemniaków
Kostka rosołowa
Pęczek zielonej pietruszki
Łyżka mąki
2 łyżki masła
6 ziarenek pieprzu
3 ziarenka ziela angielskiego
Sól, pieprz do smaku

Ziemniaki obieramy, myjemy i kroimy w kostkę. Wrzucamy na wrzątek z kostką rosołową i rozgniecionymi ziarnkami pieprzu i ziela angielskiego. Obieramy marchewki, myjemy i ścieramy na grubych oczkach tarki. Do przygotowanych ziemniaków dorzucamy startą marchewkę i umyte „patyczki” od naci pietruszki. Natomiast „koronę” naci pietruszki drobno siekamy. W czasie, gdy warzywa się dogotowują przygotowujemy zasmażkę. Do roztopionego masła dodajemy mąkę i podsmażamy mieszając. Lekko przybrązowaną papkę mieszamy z zupą. Sól i pieprz do smaku. Zanim zupa trafi na stół dekorujemy ją posiekaną natką pietruszki ... smacznego.



znaczy skutecznie

Rozmowa z Hanną Wieloch, terapeutką, doradcą zawodowym, trenerką rozwoju osobistego z ponad dwudziestoletnim stażem, o tym, jak się odnaleźć na rynku pracy anno domini 2012.

Jaki jest rynek pracy w Polsce w 2012?

Różnie się o tym mówi. Niektórzy mówią, że jest to przede wszystkim rynek pracodawcy, w znacznie większym stopniu niż kiedyś. Inni mówią, że wcale nie wygląda on źle, i że widać na nim balans między potrzebami pracodawcy, a pracownika. Mnie się wydaje, że jesteśmy gdzieś pośrodku; na pewno nie mamy do czynienia z rynkiem pracownika, ale też nie jest tak ciężko, jak w czasach największego bezrobocia, chociażby w 2004, kiedy pracownik nie liczył się w ogóle. Niemniej, na pewno trzeba się postarać, aby znaleźć fajną pracę.

Kto jest lepszym pracodawcą: państwo czy prywatny?

To jest problem z gatunku nierozwiązywalnych. Nie umiałabym na to jednoznacznie odpowiedzieć. Sądzę, że to naprawdę zależy od potrzeb pracownika w danym momencie życia. Każdy

ma własne wartości związane z pracą, tak zwane kotwice kariery. I jeśli dla kogoś najważniejsza jest w danym momencie stabilizacja, a nie np. robienie rzeczy kreatywnych, rozwój, nowości itd., to państwo mu to zabezpieczy. Nie zabezpieczy mu natomiast wyzwań, dużych zarobków i awansu. Musimy pamiętać, że na państwowych posadach bardzo często ścieżka awansu jest zablokowana, bo wyższe stanowiska są zazwyczaj obsadzone w drodze mianowań i to do tego politycznych. Firmy natomiast oferują mniejszą stabilizację i często, dłuższe godziny pracy.

Wraz z wejściem do Unii Europejskiej otworzyły się dla nas zachodnie rynki pracy, a czy my, otworzyliśmy się na pracę zagranicą? Mam na myśli niekoniecznie osoby wyjeżdżające do sprzątania, jako opiekunki lub do pracy sezonowej, ale pracowników średniego szczebla.

Sądzę, że nie bardzo. Uważam, że nie jesteśmy zbyt mobilnym społeczeństwem. Myślę, że może to wynikać z tradycji rodzinnych – że utrzymanie kontaktu z rodziną jest dla nas ważne. A także kompleksów językowych. Wiele osób o kwalifikacjach i w wieku odpowiednim do tego by wyjechać nie podejmuje tego ryzyka. Ostatnio miałam kilka klientek, które pracują zagranicą i widzę, że sobie świetnie radzą, ale to jest kropla w morzu. Większość osób mających duży potencjał nawet nie próbuje, bo to jest zbyt nowe, zbyt inne, bo trzeba by było jeszcze bardziej ze światem się zmierzyć i pozbawić się komfortu ugruntowanej pozycji. Myślę tymczasem, że wyjeżdżać, obserwować i sprawdzać się jest warto. Bo potem, kiedy wraca się do Polski ma się naprawdę cenne doświadczenia.

Jakie kryteria są ważne dla Polaków przy wyborze pracy?

Ostatnie badania pokazują, że obok finansów znalazły się przede wszystkim relacje interpersonalne. To, czym chwali się w ogłoszeniu co drugi pracodawca, czyli dobra atmosfera. Ważna jest też satysfakcja z pracy i możliwość rozwoju. W tych pojęciach zawiera się taka potrzeba, żeby czynności wykonywane nie były wyłącznie rutyną, żeby był jednak pewien element nowości. Brak możliwości rozwoju, malkontenctwo, niedocenywanie czyjejś pracy przez przełożonych lub zły klimat pracy to jeden z głównych czynników, dla których ludzie bardzo poważnie zastanawiają się nad odejściem z pracy.

A jak wśród tych kryteriów plasują się pieniądze?

Wysoko. Bo pieniądze są bardzo ważne. Jednak nie najważniejsze. Bo z powodu złego klimatu często się jednak pracę zostawia, nawet jeśli zarabia się tam duże pieniądze. To oczywiście zależy też od tego, jaką kto ma sytuację finansową i na co może sobie pozwolić. Jednak bardzo często przy złych relacjach w pracy, mobbingu, wyścigu szczurów, konflikcie w zespole, nawet wysoka pensja nie jest w stanie obronić tego stanowiska pracy.

Poszukujący pracy skarżą się, że odpowiadając na ogłoszenia wysyłają setki CV i nikt nigdy do nich nie dzwoni. Czym to jest spowodowane?

W pierwszej kolejności może być spowodowane źle napisanym CV lub brakiem wymaganych kompetencji na dane stanowisko. Niemniej, ja nie do końca wierzę w to, że we wszystkich przypadkach publikowanie przez firmę ogłoszenia o pracy ma służyć faktycznemu pozyskaniu pracownika.

Jakie mogą być inne powody?

Po pierwsze: wymagania formalne. Gros instytucji ma obowiązek publikacji ogłoszeń, aby pokazać, że postępuje zgodnie z wymaganiami. Po drugie: spotkałam się z opinią, że firmy publikują ogłoszenia o pracę, aby się zareklamować. Reklamy są bardzo drogie, a publikacja ogłoszenia o pracę to wydatek rzędu kilkuset złotych. A przecież w takich ogłoszeniach można zawrzeć profil, misję i cele firmy. Można wysłać komunikat, że się pręźnie rozwijamy, jakie mamy plany itp. Coraz więcej firm, pisze przede wszystkim o sobie, a śladowo o wymaganiach na dane stanowisko.

Trochę mnie Pani zdziwiła.

Jest też trzecia, najbardziej posunięta do ekstremum możliwość o której się ostatnio mówi: firmy publikują ogłoszenia, aby pozyskać bazę klientów na swój produkt. Mają już adresy mailowe, mogą tworzyć sobie bazy danych, grupy docelowe, profile potencjalnych klientów i spamować ich skrzynki itp.

Jakie są wobec tego strategie szukania pracy? Czy powinno się je dzielić na kategorie wiekowe?

Zdecydowanie tak. Kiedy jesteśmy młodzi, dwudziestokilkuletni, naszą podstawową i zarazem najskuteczniejszą szansą jest staż. Oczywiście, jak już wiele razy

wspominałam – przemysłany i zgodny z tym, co mnie interesuje i gdzie chcę pracować. Przedstawiciele biznesu otwarcie mówią o tym, że bardzo dużo firm rekrutuje swoich przyszłych pracowników poprzez staże. Czasem nie mówi się wprost, że najlepsi zostaną, jednak oczywiste jest, że jeśli trafi się dobry pracownik, to taka firma już go nie wypuści. W późniejszym wieku, uważam, że najkorzystniejszą metodą szukania pracy jest siatka kontaktów. Bycie przez kogoś poleconym. To w tym momencie kiedy mamy już pewien zbiór kompetencji i doświadczeń. Dobrą strategią jest też własna inicjatywa. Dzwonienie, pojawianie się w danej firmie, osobisty kontakt. To trudne, ale czasem to jedyny sposób, jeśli naprawdę nam na tej konkretnej pracy zależy. Ja sama kiedyś uzyskałam pracę w ten sposób. Po prostu poprosiłam dyrektora liceum, w którym chciałam pracować o kwadrans rozmowy i zaprezentowałam swoje pomysły.

Miałam też kiedyś klientkę, która bardzo chciała pracować w dużym koncernie kosmetycznym. Wysłała im więc CV i czekała, ale nic się nie wydarzyło. Jakiś czas później odkryła, że firma ta będzie się wystawiać na targach branżowych. Udała się więc na ich stoisko i poprzez osobisty kontakt zdobyła angaż. Zajęło jej to dużo czasu, jednak zyskała pracę marzeń.

Odpowiadanie na ogłoszenia zostawiłabym na ostatnim miejscu w każdym wieku. I niezależnie od wieku, doradzam przede wszystkim przełamanie się do większej aktywności w poszukiwaniu pracy. Nie odpowiadajmy na sto ogłoszeń tygodniowo, wysyłając nasze CV gdzie popadnie, tylko wybierzmy kilka firm, na których naprawdę nam zależy i zastanówmy się jakie są niestandardowe możliwości przekonania pracodawców do siebie.

Pani Hanno, dziękuję bardzo za tę ostatnią z naszych rozmów, dziękuję za wszystkie podróże po rynku pracy, życzę Pani wiele satysfakcji zawodowej i wielu nowych wyzwań, a czytelników zapraszam na spotkanie z naszym kolejnym gościem.

Carol Wolff

Danie z woka

Kaśka Puchalska

Zimą świat staje się monochromatyczny. Przypomina białą-szarą breję rozgotowanej kaszy pęczak, upstrzoną czarnymi skwarkami gawronów. Po takim daniu wiosna kojarzy się z kolorową sałatką z rzodkiewki i szczypiorku, podaną na zarumienionych z radości grzankach.

– Aniela, powiedz kiedy przyjdzie wiosna? – zapytał Maks. Pytanie było zupełnie poważne, a mężczyzna oczekiwał bardzo konkretnej daty. Jego przyjaciółka posiadała bowiem wyjątkowy dar. Jak go nazwać? Może najbezpieczniej będzie określić go jako niezwykłą intuicję. Ale co tu umniejszać, skoro w trafność jej przepowiedni wierzyli nawet policjanci śledczy!

Swój dar Aniela odziedziczyła po matce Rozalii, babci Janinie, prababci Urszuli i swoich praprababkach. Wszystkie kobiety w jej rodzinie miały szósty zmysł i widziały oraz wiedziały rzeczy, które dla innych były tajemnicą. Ale dar Anieli był najpotężniejszy. Może dlatego kobieta mimo swej nieprzeciętnej urody i trzydziestki na kar-

ku była nadal singielką, podczas gdy jej przodkinie kiedyś tam przed laty łatwo dawały się podejść. Każdemu potencjalnemu kandydatowi, który zjawiał się u progu Anieli w wyglansowanych butach i z pękiem kwiecia rzucała ironiczne:

– Co do butów i kwiatów nie mam zastrzeżeń. Ale tylko co do butów i kwiatów. Co zwykle wystarczało dla ostudzenia emocji i powstrzymywało wyznania. Ci, którzy dzielnie stawiali do drugiej rundy, otrzymywali czarną polewkę wprost z woka, tak doprawioną czosnkiem, chili i różnym suszonym i świeżym ziołem, a może i nie ziołem, że ogień ogarniał ich gardła, oczy wychodziły na wierzch i chcąc nie chcąc nie byli w stanie zadać właściwego pytania. Aniela zwykle dorzucała jeszcze na deser coś w rodzaju:

– Chyba nie jest zbyt ostre? Dodałam mniej niż zwykle przypraw. Kto by pomyślał, że ci zaszkodzi? Obdarowywała przy tym krztuszącego się niešťczęśnika spojrzeniem pozbawionym wszelkiej łagodności, w którym co bystrzejszy obserwator mógł wyczy-

tać, że powtórna wizyta może zakończyć się tragicznie.

Jednak co do wiosny, Aniela żadnych pozytywnych dat podać nie potrafiła. Po prostu nie wiedziała, kiedy przyjdzie. Było to dość niezwykle, jako że do tej pory żadnego pytania nie zostawiła bez odpowiedzi. Nie ważne, czy chodziło o wynik meczu, czy o datę śmierci chomika, zawsze dobrze zgadywała. Ale nie co do wiosny. Tu miała blokadę. Dziwne, nie?

Skoro Aniela nie potrafiła podać terminu nadejścia wiosny, zima trwała nadal. Martwiło to Maksa, który był ciepłolubny. Kim był Maks? W skrócie można powiedzieć, że to jeden z wielu, którzy skosztowali potrawy z woka. W rozwinięciu warto jednak dodać, że nie był to przeciętny odrzucony. Wręcz przeciwnie. Gdybyście wszystkich kandydatów ustawili obok siebie i uszeregowali według stopnia ich oryginalności, to na premiowanej, o ile nie pierwszej pozycji znalazłoby się miejsce dla Maksa. Oryginał jakich mało. Zwolennik spiskowej teorii dziejów, wielbiciel wschodniej kuchni i filozofii mistrzów zen. Mazowiecki ninja, władający po mistrzowsku cierpliwością i pogodą ducha, gotowy stanąć w szranki i ofiarnie walczyć, najchętniej białymi... Chyba dlatego zniechęcić było go trudno. Aniela tego nie potrafiła. W końcu zmęczona jego nieustanną atencją zapropono-

wała przyjaźń, a on skwapliwie propozycję przyjął, odkładając na pewien czas pierwotne plany i osobiste ambicje. Zszedł do podziemia i dalszy etap walki o pierwszą nagrodę realizował w roli powiernika, doradcy i sojusznika. Aniela nie zauważyła, ale po paru miesiącach tej przyjaźni Maks zbliżył się do niej na bardzo niebezpieczną odległość. Taka bliskość potrafi przerodzić się w uczucie, szczególnie w sytuacjach trudnych, gdy emocje wzbierają, a nasze wewnętrzne ja zostaje odkryte w niekontrolowany przez nas sposób. Maks przywarował i czekał na sprzyjający wiatr.

Odpowiednia dla realizacji ukrytych celów Maksa historia zdarzyła się dokładnie tuż przed nadejściem wiosny, w pewien mroźny i szary poranek. Takiego właśnie dnia do mieszkania Anieli zapukała pewna pogrążona w rozpacz istota.

Owego ranka Aniela wstała lewą nogą. Była niespokojna i podenerwowana, choć nie wiedziała dlaczego. Istota zadzwoniła dokładnie w chwili, kiedy przygotowywała śniadanie. A dokładnie w momencie, gdy wykrobywała przypaloną kaszę z garnka. Dzwonek do drzwi zupełnie wytrącił ją z równowagi. Pode-rwała się i w kilku susach dopadła do przedpokoju. Otworzyła zamek, nawet nie sprawdzając, kto stoi

za drzwiami. Właściwie to nawet pragnęła by to był bandyta, przynajmniej mogłaby się wyżyć. Istota wyglądała jednak dobrodusznie i niegroźnie, budziła wręcz litość, co podziało na Anielę mitygująco. Zziębnięta istota wślizgnęła się do

jej mieszkania bez słowa, powłócząc nogami, jakby cały świat zeszła w poszukiwaniu tego czegoś, czego szukała bardzo długo i najwyraźniej bez rezultatu.

Aniela bez słowa zaprowadziła istotę do swojej śmierdzącej przypaloną



kaszą kuchni. Zrobiła kawę (z miodem, dużą ilością mleka oraz odrobiną koniaku, a więc dokładnie taką, jakiej potrzebowała trzęsąca się z zimna bieda z nędzą przycupnięta na stołku kuchennym). Ciężko usiadła obok, cały czas milcząc. Cisza była jednak pozorna, w myślach nieustannie zadawała sobie samej pytania i udzielała na nie odpowiedzi. W miarę jak jej gość pił kawę i odzyskiwał czucie w rękach i nogach, odkrywała wszystkie tajemnice, które należało odkryć. Po kilku minutach wiedziała już wszystko.

Zapoznali się pod koniec lata. W sobotni upalny poranek dziewczyna kąpała się w rzece. Plaża była jeszcze pustawa, więc kiedy tylko pojawił się na niej młody chłopak, od razu zwróciła na niego uwagę. Szybko się porozumieli. W pewnej chwili dziewczynę chwycił skurcz i zaczęła się topić. Chłopak wyciągnął ją z rzeki. Tak zaczęła się ich krótka, pełna namiętności historia. Historia naznaczona romantyzmem dziewiętnastowiecznej ballady. Widywali się rzadko, bo on często wyjeżdżał. Wracał zawsze pełen tęsknoty, oddany i czuły. Sielanka trwała do późnej jesieni. Kiedy temperatura spadła i na gałęziach osiadł szron, przestał przychodzić. Jakby zapadł się pod ziemię. Dziewczyna szukała go wszędzie. Zgłosiła jego zaginięcie na policji, ale nie pod-

jęto żadnych kroków. Tłumaczono jej, że odszedł i nie miał obowiązku się opowiadać. Szukała więc sama. Bez rezultatu. Wreszcie ktoś na posterunku odpowiedział jej litościwie, żeby poprosiła o pomoc Anielę, bo policja ma związane ręce. Tak zrobiła.

Aniela patrzyła z głębokim współczuciem na istotę dopijającą kawę w jej kuchni. Czy powinna jej powiedzieć prawdę? Bolesną, okrutną, odbierającą nadzieję prawdę? Czy kazać iść tej istocie precz, na śnieg, mróz, ale i zapomnienie? Co ma zrobić ktoś, kto sam odrzuca miłość, w poszukiwaniu objawienia. Ktoś, kto – wiedząc wszystko – oczekuje, że coś go wreszcie zaskoczy, choćby to odkrycie miało boleć? Czy ktoś, kto zna całą prawdę, przez co nie potrafi być szczęśliwy powinien podejmować decyzję za tych, którzy w jej poszukiwaniu znajdują szczęście?

– Gdzie jest mój narzeczonny? Istota przełknęła ostatni łyk kawy i przemówiła głosem nabrzmiałym tęsknotą, bólem i determinacją. Aniela ugięła się przed tym głosem, mimo szarpiących jej sumienie wątpliwości.

Pojechały do małego domku na dalekiej wsi. Maks zawiózł je swoim samochodem, nie chcąc by Aniela wracała potem sama.

W podupadającym gospodarstwie, w którym parę miesięcy temu zdarzył się straszny wypadek, młody chłopak

leżał bezwładny na łasce starej schorowanej matki i lekarza z poradni rejonowej. Raz na jakiś czas stary doktor odwiedzał swojego pacjenta, ale tylko po to, by pokiwać nad nim swą siwiejącą głową. Nie potrafił niczemu zaradzić.

Aniela zostawiła kochanków w sypialni. Razem z Maksem usiedli na ganku, krzepiąc się zsiadłym mlekiem. Chlipiąc z radości, a może rozpaczy matka chłopaka chodziła koło nich, znośząc to i owo.

– Dobrze zrobiłaś – Maks gładził Anielę po włosach.

– Tak należało – przytulił ją do siebie, trochę wbrew jej woli.

– Teraz wiosna może już przyjść. Czuję ją. Nie martw się. Ten konował nie zna się na niczym. Znam specjalistę, podobno jest świetny. Pobierał nauki od tybetańskich mnichów. Prawdziwy cudotwórca.

Aniela patrzyła na Maksa z rosnącym zdumieniem. Mówił rzeczy, których nie potrafiła zweryfikować, tak jakby jej dar napotykał na przeszkodę, na chiński mur, którego nie potrafiła ani przeskoczyć, ani obejść. Przez chwilę nawet myślała, że swój dar bezpowrotnie straciła. Za karę, albo w nagrodę. Ale nie. To nie było to. Wciąż wiedziała i przewidywała mnóstwo rzeczy, które oznaczały, że dar nadal istnieje. Jednak jej intuicja nie obejmowała Maksa. On był poza jej

zasięgiem. Stał się dla niej tajemnicą, którą tylko on sam potrafił przed nią odkryć, o ile nadal miał na to ochotę. Co by to mogło oznaczać?

Jak się domyślacie historia mimo wszystko zakończyła się dobrze. Tybetański lekarz w niecałe sześć miesięcy postawił chłopaka na nogi. Narzeczeni zamieszkali razem, choć ona długo nie mogła mu wybaczyć, że zwątpił w jej uczucie i nie zawiadomił o wypadku.

A co z Anielą i Maksem? To trudniejsza sprawa. Aniela nadal walczy z własnymi uczuciami, próbując rozgryźć jego tajemnicę. Dużo gotuje. Ale Maks jest twardy. Wydaje się, że wręcz rozsmakował się w jej potrawach z woka. Zdarza się, że pichcą razem, a wtedy w kuchni dzieją się rzeczy nadzwyczajne. Do serca kobiety dotrzeć można bowiem bardzo różnymi ścieżkami. Czasem trzeba wybrać ubity dukt, innym razem szlak górski pełen śliskich pionowych gładzi i nagłych przeskoków. Cierpliwi gracze zostaną nagrodzeni, o ile potrafią czekać i są wytrawnymi smakoszami. Śmieciożercy muszą zadowolić się wyzbytą wszelkiej finezji frytką.

K.P.



Polska – tęsknota za tygłem narodów

Współcześnie rzadko myślimy o Polsce jako o tyglu narodów. Choć ostatnio coraz bardziej uświadamiamy sobie pewne różnice, póki co jesteśmy do bólu jednorodni, przynajmniej w powszechnej świadomości. A przecież od wieków aż do niedawna stanowiliśmy wielokulturowe społeczeństwo, z licznymi mniejszościami. Wczytując się w życiorysy naszych wielkich kultury, nauki, polityki zauważamy, że często pochodzili z miejsc, w których ulica nie mówiła jednym językiem, a święta obchodziło się w różnych terminach. Truizmem jest stwierdzenie,

że wywarło to duży wpływ na naszą kulturę. To oczywistość, ale nie uświadamiamy sobie, jak bardzo odbijało się to na codziennym życiu. W naszej globalnej wiosce znajomość języków jest bardzo w cenie. Mozolnie uczymy ich się w szkołach i na kursach wieczorowych, dawniej w kilku językach po prostu wyrastaliśmy. Na ulicy, w domu czy u sąsiada mówiliśmy różnymi językami. I choć historia pokazała, że te różnice mogą w zapalnych momentach prowadzić do tragedii, nie można zapominać o ich pozytywnym aspekcie. Warto znać i uświadamiać sobie, że są jeszcze miejsca w naszym

kraju, gdzie spotkamy resztki ocalonej, dawnej różno językowej i religijnej rzeczywistości. Namawiam do odbycia niezwyklej podróży po Polsce, podróży w przeszłość, ocaloną w zapadłych dziurach, podróży po językach i tradycji pielęgnowanej od pokoleń. Takich miejsc jest wiele. Poniższe przykłady niech będą jedynie inspiracją w naszych wędrówkach.

W poszukiwaniu polskiego kotła, mówiąc bardziej elegancko tygla, proponuję wybrać się na wycieczkę po wschodniej i południowo-wschodniej Polsce.

Suwalszczyzna i Starowiercy

Suwalszczyzna może poza Pojezierzem Augustowskim nie jest doceniana przez Polaków, chociaż walory urlopowe ma ogromne. Niezmieniony przez człowieka krajobraz, brak tłumów ludzi, czyste jeziora i rzeki, duże obszary leśne, to wszystko sprawia, że można wypocząć od coraz szybszego tempa miejskiego życia. Prócz atrakcji przyrodniczych region ten ma wiele do zaoferowania poszukiwaczom odmienności.

Dawną historię tych ziem tworzyli Jaćwingowie, po których w okolicach Suwałk pozostały cmentarzyska z kurhanami, pojawiali się tutaj wojujący z nimi Krzyżacy. Przez wieki tereny te należały do Prus, ale zawsze mieszkali tu Litwini i Polacy. Gdy więc trafimy do Puńska niech nie zdziwi nas mowa, którą usłyszymy w sklepie. Jeśli nie

znamy litewskiego, nic nie rozumiemy. Mieszkający tu Litwini na co dzień rozmawiają bowiem we własnym języku. W okolicach leżącego nad Biebrzą Lipska natrafimy na mniejszość białoruską, w samym zaś Lipsku zobaczymy wiele pamiątek po mieszkających tu niegdyś Żydach. Na długo przed powstaniem tutaj styku trzech granic – polsko-litewsko-rosyjskiej mieszkańcami Suwalszczyzny została niezwykle grupa Rosjan - staroobrzędowców. Nazywani starowiercami, starowierzami, raskolnikami przybyli na tereny Rzeczypospolitej, by uciec przed prześladowaniami ze strony cerkwi i caratu za sprzeciw wobec reform wprowadzonych przez patriarchę Nikona w 1652 roku. Z dzisiejszej perspektywy trudno nam jest zrozumieć powody tak silnego oporu przeciwko zmianom. Poprawienie świętych ksiąg zgodnie z greckimi oryginałami wydaje się być chyba najbardziej znaczącą, bo zmiana pisowni słowa Jezus, żegnanie się trzema a nie dwoma jak dotychczas palcami, czy chrzest przez polanie głowy lub zanurzenie, a nie trzykrotne zanurzenie, to dla nas dzisiaj raczej kosmetyka. A jednak dla części prawosławnych w XVII w. były to zmiany zbyt radykalne, stanowiły zamach na ich świętą wiarę i nie odstąpili od sprzeciwu mimo konieczności opuszczenia swych domów. Wielu z nich schroniło się na ziemiach obecnej Litwy, a także na Mazurach i Suwal-



szczyźnie. Choć grupa ta do naszych czasów zachowała ojczysty język rosyjski i swoją wiarę, perspektywy przetrwania ma niestety znikome. Zanim więc zniknie zupełnie warto, odpoczywając w okolicach Suwałk wybrać się do małych wsi, jak Wodziłki czy Gabowe Grądy. W tych ostatnich może uda się posłuchać jedyne go zespołu starowierców „Riabina”, a na pewno trzeba zobaczyć tutaj zabytkową drewnianą molennę i cmentarz. Warto poszukać w okolicy krytych strzechą chałup, w których do niedawna mieszkali obowiązkowo brodaci mężczyźni i kobiety odziane w długie poszerzone na dole suknie – sarafany. Po ciężkiej pracy przy obróbce drewna siedzieli przed domami, popijając kwas chlebowy – sołoduchę, alkoholu przynajmniej

oficjalnie pić jednak nie mogli i jedząc bulbisznye pirogi (zapiekane w piecu placki z gotowanych ziemniaków). Kiedy już tylko w suwalskim krajobrazie pozostaną po nich, wyglądające jak cerkwie domy modlitw – molenny, mało kto będzie pamiętał, że to starowiercom tutejsza ludność zawdzięcza zwyczaj chodzenia do bani. Mieli oni rytualny obowiązek przed pójściem na modlitwę raz w tygodniu zażyć kąpieli i obyczaj ten zaszczepili swoim polskim sąsiadom.

Podlasie i Tatarzy

Podlasie można uznać za miniaturę dawnej Rzeczypospolitej. W jego krajobrazie obok katolickich kościołów, prawosławnych cerkwi, znajdziemy żydowskie synagogi i, co w Polsce

niespotykane, meczety. Nie musimy lecieć samolotem, by móc przyjrzeć się egzotycznej dla nas kulturze islamu. Wystarczy pokonać ok. 400 km od Warszawy i w okolicach Białegostoku odwiedzić polskich Tatarów.

Zanim zaczęto ich nazywać polskimi, do okresu międzywojnia mówiło się o nich Tatarzy litewscy. Już bowiem w XIV w. głównie w konsekwencji prowadzonych przez Wielkie Księstwo Litewskie wojen zaczęli osiadać na litewskich ziemiach. W niespokojnym XVII w., kiedy Rzeczpospolita była uczestnikiem licznych konfliktów zbrojnych, Tatarom – wybitnym znawcom wojennego rzemiosła nadawano polskie prawa szlacheckie, mogli na przykład bez ograniczeń kupować i zarządzać ziemią. Królowi Janowi III Sobieskiemu zawdzięczamy ich osiedlenie się na Podlasiu. To on zbuntowanym tatarskim żołnierzom, którzy przeszli na stronę turecką, w zamian za zaległy żołd nadał tutejsze ziemie. Warunkiem był oczywiście powrót w szeregi królewskiej armii. Choć współcześnie żyjącym w Polsce Tatarom język dziadów i świętej księgi Koranu jest w większości zupełnie obcy, zachowali oni swoją kulturę i obyczaje, i mimo że od ponad 600 lat mieszkają wśród chrześcijan nie zapomnieli swojego wyznania. Jak przodkowie chodzą więc na modlitwy do meczetu, w którym mihrab wskazuje

kierunek na Mekkę i na którego ścianach nie znajdziemy świętych obrazów, a za to zgodnie z wymogami islamu wydzielona jest część dla kobiet i mężczyzn. Menu tatarskie ułożone też zgodnie z religią i obyczajem, na próżno szukać w nim wieprzowiny.

Wędrując szlakiem tatarskim, od razu jednak zobaczymy, jak środowisko, w którym zamieszkali wywierało na nich wpływ, choćby w architekturze. Przejeżdżający przez Bohoniki przypadkowy turysta może nie zorientować się, że ma przed sobą meczet. Bez minaretu, zakończony cebulastą kopułą z zewnątrz przypomina raczej cerkiew. Z kolei meczet w Kruszynianach można by łatwo pomylić z drewnianym wiejskim kościołem, a że nie jest to świątynia katolicka widać jedynie po półksiężycach umieszczonych na wieżach. Okazją do przybliżenia sobie kultury Tatarów jest wycieczka turystycznym Szlakiem Tatarskim. Przygotowany w dwóch wersjach ok. 20 i 50-kilometrowej pomoże poznać historię i kulturę tego narodu. Poszukiwania tatarskich śladów zawiodą nas m.in. do Sokółki i Białegostoku, gdzie w miejscowych muzeach zgromadzono kolekcje tatarskich eksponatów. W Białymstoku obowiązkowo zobaczyć należy też Muzułmański i Tatarski Dom Modlitwy. Ponadto na trasie znany bardziej z męskiego prawosławnego monasteru Supraśl,

a także malownicze miejscowości Krynki, Józefowo, Malawicze Górne i miejscowości o dziwnie brzmiących nazwach, jak Królowe Stojła i Waliły Stacja.

Najbardziej tatarski charakter ze wszystkich mają Bohoniki i Kruszyńniany, mieszkająca w nich ludność to w większości Tatarzy. Prócz meczetów, zobaczymy w nich tatarskie cmentarze – mizary. Jeśli ma się czas, warto zatrzymać się tu na dłużej. W Kruszyńnianach gościnne progi „Tatarskiej Jurt” – gospodarstwa agroturystycznego umożliwią nam to w całkiem przystępnej cenie. Tym bardziej warto, że ugości nas tu prawdziwa tatarska rodzina. Opowiedzą o zwyczajach, pokażą rodzinne pamiątki, a na pewno przygotują typowe dla nich dania, wśród nich kibiny, pierkaczewnik czy czynaki. Jeśli trafimy tutaj w sierpniu podczas Festiwalu Tradycji i Kultury Tatarów Polskich, pocujemy atmosferę tatarskiego święta, posłuchamy, jak śpiewają, jak się bawią potomkowie przybyłych tu z odległych stron groźnych czasami wojowników. Zobaczymy, co zdołali ocalić ze swej tak odmiennej od naszej kultury. Nie należy zwlekać z przyjazdem, bo nie wiadomo, jak długo jeszcze w unifikującym się świecie uda im się przeżyć, nie stając się turystycznym rezerwatem czy skansenem.

Beskidy i Łemkowie

Opuszczamy nizinne krajobrazy i w dalszą podróż udajemy się na południe Polski, w rejony górskie. Na potrzeby odkrywania naszego polskiego tygla proponuję Beskid Niski lub Beskid Sądecki. Góry co prawda niezbyt wysokie, ale jakże malownicze, a na dodatek nie zdeptane jeszcze przez licznych turystów. Dziś jednak nie będziemy wspólnie wędrować po tutejszych dolinach, proponuję raczej kolejną podróż w czasie, wędrówkę po zamkniętych cerkwiach, opuszczonych wsiach, których mieszkańcami byli niegdyś Łemkowie. Dla wielu nazwa ta brzmi nieco enigmatycznie, chociaż być może znają najśłynniejszego Łemka, malarza prymitywistę - Nikifora Krynickiego. Wielu starszych kuraćjusz pamięta tego niepozornego, uważanego za odmieńca, człowieka, który na ulicach Krynicy od przedwojnia sprzedawał swoje prace po niezbyt wygórowanych cenach. Epifaniusz Drowniak, bo tak brzmiało jego nazwisko, ocalał w naszej pamięci, stał się jednym z najwybitniejszych, światowej rangi przedstawicieli swojego kierunku. Łemkowie w powojennej rzeczywistości zagubili się, rozplynęli w masie porozrzucani po Polsce, albo stąd po prostu wyjechali.

Przy okazji pobytu w Krynicy warto odwiedzić Muzeum Nikifora. Mieszczące się w samym centrum miasta,

na deptaku prowadzącym do pijalni wód, posiada kolekcję kilkudziesięciu prac autora. Warto odbyć też podróż po okolicznych wioskach, gdzie być może żyło niegdyś więcej takich Niki-forów. To, co po nich ocalało do teraz, to głównie świątynie. Tylicz, Powroźnik, Polany, Mochnaczka, Czyrna, to tylko niektóre z miejscowości leżące na Szlaku Architektury Cerkiewnej, niegdyś zamieszkałe przez Łemków. Najstarsze budowle sięgają nawet XVII wieku. Cerkwie, niegdyś prawosławne lub greckokatolickie, obecnie służą wyznawcom wiary katolickiej obrządku łacińskiego.

Najlepszą sposobnością, by poznać Łemków jest Festiwal Kultury Łemkowskiej - „Watra”, odbywający się w lipcu w małej miejscowości Beskidu Niskiego. Do Zdyni, leżącej w okolicach Gorlic na te parę dni przyjeżdżają goście z całego świata, by przy muzyce bawić się i pielęgnować swoją tradycję. Melodyjny język Łemków nastroja do śpiewów i tańców. Smaczne i nieco odmienne od naszego jedzenie samo w sobie stanowi atrakcję festiwalu. Można spróbować tutaj homiółków, upieczonych, a następnie przechowywanych w oliwie kulek z białego sera z miętą czy warianki, zupy z kiszzonej kapusty i maki podawanej ze skwarkami lub olejem lnianym z dodatkiem ziemniaków w mundurkach.

Festiwal uświadomi nam, jak

niedawno dzieliliśmy tę leżącą w pobliżu Rzeszowa i wcale nie tak daleko od serca Polski Krakowa ziemię z innym narodem. Należący do ruskiej grupy etnicznej Łemkowie żyli na tych ziemiach od wieków. Mówili swoim, brzmącym dla niewtajemniczonych jak ukraiński, językiem, chodzili do cerkwi czy to prawosławnej, czy to greckokatolickiej, żyli raczej skromnie. Po wojnie część przez Sowietów została przesiedlona na Ukrainę, część w ramach akcji „Wiśła” pozbawiona swoich domów i wywieziona na ziemie odzyskane. Niewielu wróciło. Beskidy pełne są pamiątek po dawnych mieszkańcach. Niestety, opuszczone wsie i zarastające cmentarze nastroją raczej melancholijnie niż wakacyjnie. To jednak część kultury tych ziem, naszej kultury.

Kocioł narodów, mieszanka etniczna w zależności od okresu w historii były wartością lub stawały się przekleństwem obywateli jakiegoś kraju. Utarte w języku sformułowanie „bałkański kocioł” nie przywodzi nam na myśl niczego dobrego. Tygiel brzmi lepiej. Pamiętajmy więc o naszym rodzimym tyglu i o tym, jak łatwo zamienić go w złowrogi kocioł, o czym uczy, niestety, również nasza historia.

Joanna Dudek-Ławecka

SZYNKA

Kasia Bartsch-Cielebon

Szynka leżała sobie dostojnie na kuchennym stole Marty, budząc jej podziw i przerażenie równocześnie. Właściwie była to cała tylna świńska ćwiartka w pełnej krasie. Pojawiła się na jej stole w ramach prezentu świątecznego od chrzestnego. Bardzo wczesnego prezentu, jak stwierdziła Marta. Tak na miesiąc przed Wielkanocą. Cóż...Trzeba było się z nią jakoś zmierzyć. Marta ostrożnie podeszła do stołu. Odważnie poruszyła palcami czerwone mięso. Nawet bardzo odważnie obwąchała. A jak! Zawsze miała do czynienia ze zdecydowanie mniejszymi kawałkami. Może nawet w dużych ilościach, ale zawsze były jakoś tak mniej przytłaczające. Wycofała się na swoją starą pozycję. I wtedy pojawiło się marzenie...

Dwie minuty później

– I co tak stoisz? – usłyszała głos męża za plecami.
– Piękna, co? – zapytała z rozmarzeniem w głosie.

– Co, ta świnia? – zdziwił się mąż.
– Ojej. Od razu świnia.
– No, a co to jest?
– No... świnia – musiała przyznać – ale piękna... Uparła się przy swoim. – I wiesz co... – zapatrzyła się znowu na swój prezent – ja z tego zrobię taką prawdziwą ... ale taką najprawdziwszą szynkę. Nie taką ze sklepu, ale taką fest – ujęła się pod boki.

Dwie godziny później

Po przejrzeniu różnego typu internetowych stron o tym, jak to taką szynkę zrobić należy, Marta siedziała przed kawałem świńskiego mięsa, czując przejmujący ją strach. Gdyby ta ćwiartka zechciała zerwać się i odkuśtykać na racicze, Marta pewnie byłaby bardziej szczęśliwa. Biedny chrzestny wujek pewnie już leży pod ciężarem psów, które na nim ponawieszała. Jedyne słowo, które cisnęło się jej do głowy było niecenzuralne. Wreszcie po umyciu spoconych ze strachu dłoni i wymuszeniu na własnym mężu naostrzenia noża i toporka

(ratunku!) zabrała się za, jak stwierdziła, profanację świńskich zwłok. To znaczy ich części. Wreszcie splakana, zmęczona i szczęśliwa, że ma to już za sobą rozdzieliła mięso, na żądane kawałki. Zdecydowanie mniej artystyczne, ale jednak już bardziej swojskie. Szynka do zrobienia „nie jak ze sklepu” leżała sobie centralnie. Pomimo wszystko był to naprawdę duży kawał mięsa.

– W czym ja to, cholera, ugotuję – popatrzyła zdeglustowana na swoje garnki. Do peklowania świetnie nadawała się beczka od kiszenia ogórków na zimę. Na szczęście już pusta. Wędzenie Irek zapewnił, że załatwi. Został poważny problem ugotowania mięsiwa po wszystkich jego przejściach – cholera – powtórzyła Marta – cholera, cholera, cholera. Nie będę specjalnie kupować kotła... Cholera jasna, trzeba będzie pożyczyć...

Następnego dnia

Wizyta u mamy zawsze niosła ze sobą ryzyko stwierdzeń, że na własnym to ona sobie nie poradzi i, że przecież u niej tyle miejsca. Wszyscy by się zmieścili i w ogóle. A tak właściwie, to powinni jeszcze poczekać, zebrać więcej funduszy i nie zadłużać się tak koszmarnie. Wiadomość o planowanym przez Martę wielkanocnym śniadaniu przyjęła zaskakująco dobrze.

– I jak ty to sobie wyobrażasz? Czy ty zdajesz sobie sprawę, że to jest masa przygotowań? Sama na pewno nie dasz sobie rady! Mowy nie ma, no ale skoro chcesz... I co?! Babcie też chcesz zaprościć? No, naprawdę ci się w tej głowie

pokiełbało... Przecież wiesz, że się mnie z dziadkiem wyrzekli. Wydziedziczyli – prychnęła – pozbyli z rodziny, bo nie zostałam na wsi. Na ojcowiznie. Nie rozmawia ze mną. Tylko po śmierci twojego dziadka zamieniła ze mną słowo. A poza tym...A ja niby po co miałam tam zostać?! Miałbym wyjść za małorolnego, budzić się skoro świt i zasuwać jak motorek... Nie, nie mam takiego kociołka czy też kotła. Ale twoja ukochana babcia na pewno coś takiego będzie posiadać.

Dwa tygodnie do Wielkanocy

Wizyta u babci zawsze pachniała ciastem i malinami. Co by nie było, maliny były zawsze. Marta kochała tę starą chałupkę. Dziadek nigdy nie chciał postawić nowej. Mówił, że nowa się zestarzeje, a ta już jest stara. Kochała studnię przed domem. Nieczynną, bo doprowadzili wodę, choć nie tak dobrą jak ta własna. Kochała też wielką gruszę o złotych owocach, która rośla na podwórku. I tę ziemię, której nie mieli siły obrobić i sprzedać. Ją też kochała.

– Czy ty jesteś pewna, że to dobry pomysł? Twoja matka nawet nie chce ze mną rozmawiać. Nawet nie zadzwoni. Nie zapyta, czy żyję. Nic się mną nie interesuje. Gdybyś nie przyjeżdżała... to pewnie nie miałabym nikogo bliskiego... Ja nie wiem... A jak ci to wszystko zepsujemy? To przecież twoje pierwsze święta na swoim. Tak, busikiem dojadę. No jest, na szczęście. Na szczęście. Naprawdę robisz szynkę? Moja dziewczynka. Pewnie, że mam kociołek. Jak bym mogła nie mieć?

Niedziela Wielkanocna

Powrót z rezurekcji był właściwie błyskawiczny. Marta, mając przed sobą perspektywę własnego, po raz pierwszy samodzielnie organizowanego śniadania wielkanocnego czuła się jak przed wielkim występem. Głos wewnętrzny wieszczyl jej poważną klapę, ale resztki ukrytego optymizmu jeszcze trzymały ją na nogach. Ze zdumieniem patrzyła na zegar, który nieuchronnie zbliżał się do godziny zero, czyli momentu przybycia gości i nie wierzyła, że to wszystko dzieje się naprawdę. W dodatku jajka, które obierała były przekornie uparte. Wszystkie, jak na złość, chciały być dopieszczane, wyskubane kawałeczek po kawałeczku ze skorupki i za żadną cenę nie chciały być ładne.

– Kostropańce jedne – warczała pod nosem.

– To zostaw w skorupkach – doradził logicznie mąż, solidarnie walczący na świątecznym froncie.

– No tak – jeszcze czego, potem by jej wytknęły, że nawet jajek nie jest w stanie obrać. – A jak nie przyjdą? – przeleciało jej przez głowę. Obrażą się, albo coś nagle się wydarzy. Zastygła z kostropańcem w ręku.

– Przyjdą, przyjdą, zawsze przecież warto się pośmiać.

– Dzięki za podtrzymanie na duchu.

Przyszły. Punktualnie. Pewnie nawet spotkały się na schodach. Marta poczuła, jak żołądek podskoczył jej do gardła, kiedy otworzyła im obu naraz drzwi. Zająły miejsca po przeciwnych stronach stołu. Nieufnie zerkały to na siebie, to na

stremowaną córkę i wnuczkę. Z determinacją starały się nie skrzyżować spojrzeń. Pomiędzy nimi pyszniła się soczyście i pachnąco szynka w otoczeniu obskubanych jajek. Marta popatrzyła na zwijany przez matkę rozek obrusa i zebrała się na odwagę. Wstała, ujęła kawałek poświęconego jajka i...

– Chrystus zmartwychwstał, prawdziwie zmartwychwstał – zaczęła z mocą. Co po takich słowach można jeszcze powiedzieć? Zamilkła. Spojrzała po twarzach siedzących. Uprzejme zainteresowanie. Ta, od dwóch tysięcy lat, nikt prawie w to nie wierzy, a one mają uwierzyć jej – Marcie. Powtórzyła – Chrystus prawdziwie zmartwychwstał. Dał nam dzięki temu szansę na nowe życie. I myślę sobie, że my teraz, tutaj, też mamy szansę zacząć nowe życie. Życzę nam wszystkim, aby nasza rodzina się odrodziła. Aby stała się na powrót cała i mocna. Przecież nas tak niewielu. To znaczy będzie więcej – nie dała rady. Zawiesiła się i głos jej uwiązł w gardle. Popatrzyła ponownie na twarze. Pełne zaskoczenie – no co? Ja chcę, przede wszystkim, abyśmy potrafili się wzajemnie kochać i nauczyć tego waszą córkę czy syna – popatrzyła na totalnie zaskoczonego męża. Może powinna mu to inaczej powiedzieć – wnuka lub wnuczkę... – podobnie zaskoczona mama. Trudno. – I prawnuka. Albo prawnuczkę – zaiskrzyła babcia. – No – Marta ciężko opadła na krzesło. Marzenia się spełniają.

K.BC

Gruzja

*heliskiing na Kaukazie
ucztowanie w bizantyjskim stylu*



Krym

*więcej niż marzenia
relaks i wypoczynek*

Kamczatka

helikopterem do wnętrza ziemi



Bajkał

zostaw cywilizację w domu

Uzbekistan

orientalna przygoda



Moskwa

świat wielkiego biznesu

Biuro Turystyczne „BEZKRESY”

00-071 Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 13/14 (dawny Hotel Europejski)

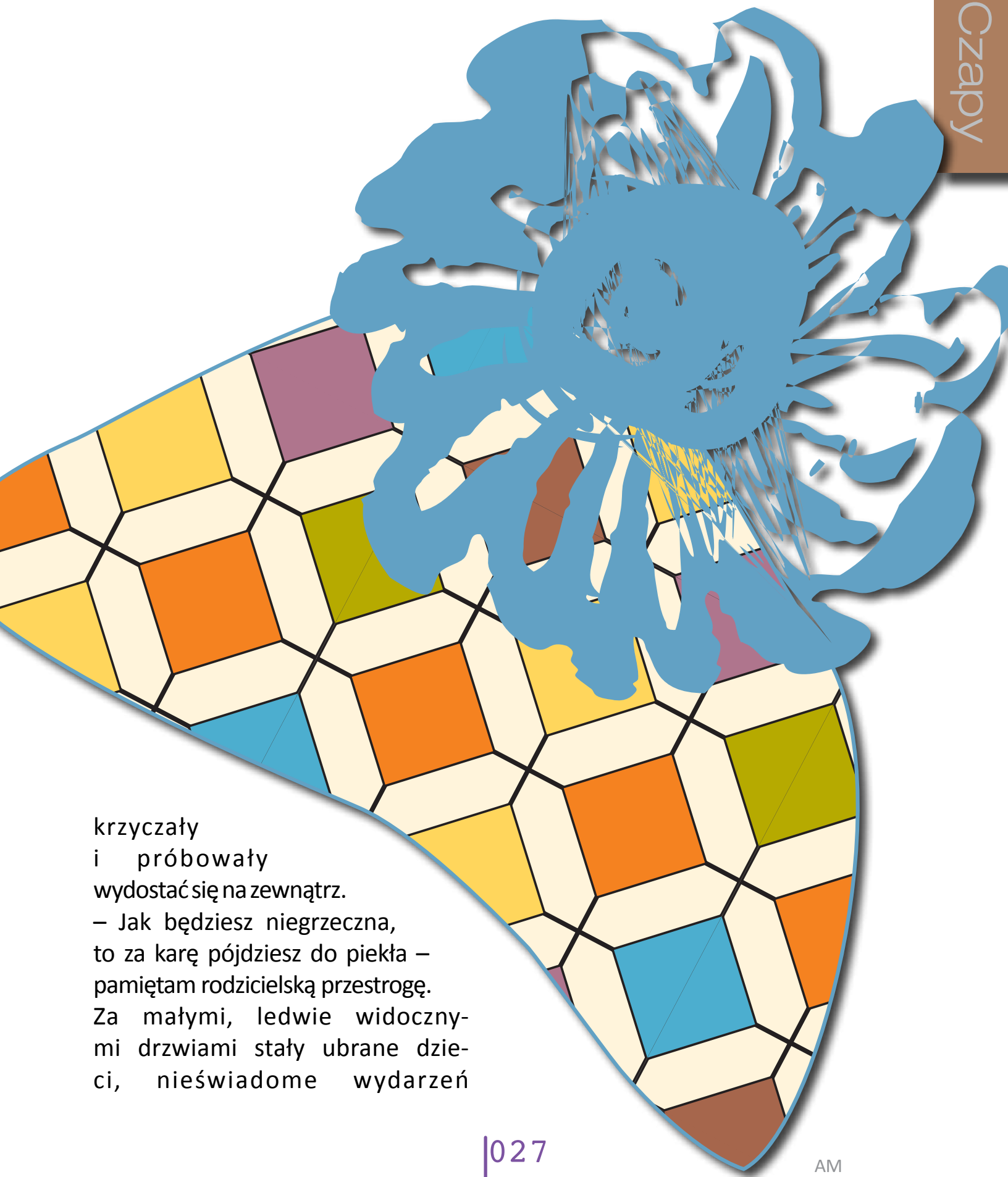
tel. 22 826 52 68, bezkresy@bezkresy.pl, www.bezkresy.pl

SPACER

Tamara Kuświk

Miejski park o tej porze roku lśnił blaskiem promieni słonecznych. Korony drzew powiewały na lekkim wietrze, mieniąc się kolorami tęczy. Malutkie zielone pączki nieśmiało rozkwitały. Wiosna jest jak narodziny nowego cyklu, jest radosna, piękna, doskonała. Pobudza do życia. To jakby początek, chce się żyć. Kiedy tak szłam wąską alejką z dala od wydeptanych ścieżek, poczułam zapach dymu. Zboczyłam ze ścieżki i podążałam za cichymi głosami. Odgarnęłam pędy forsycji i moim oczom ukazał się przedziwny widok. Na niewielkiej polance paliło się ognisko, wokoło niczym w magicznym kręgu stała grupa mężczyzn. Ubrani byli w stare, podarte kurtki, ich spodnie były brudne i pogniecione, na dłoniach mieli rękawiczki bez palców, a ich twarze wyrażały smutek i rezygnację. Nad ogniskiem przewieszony był długi patyk, który podtrzymywały po bokach

wbite drewniane paliki. Na patyku zawieszony był mały kociętek, nad którym unosiła się para. Mężczyźni ogrzewali dłonie nad ogniskiem. Kiedy ujrzałam płomienie ognia, a nad nimi naczynie, moje myśli skierowały się ku dawno zapomnianym wspomnieniom. Moim oczom ukazał się traumatyczny obraz, który towarzyszył mi od wczesnych lat. W ogromnej, ciemnej jaskini paliło się bardzo duże ognisko. Płomień był jaskrawo czerwony niczym świeża krew. Słychać było pękające drewno, które wciąż dokładały jakieś niewyraźne postacie. Palenisko było wielkości połowy boiska do siatkówki. Nad morderczym ogniskiem zawieszony niczym w próżni lekko poruszał się wielki kocioł. Był żeliwny, stary i wyglądał jak odwrócony dzwon z jakiegoś starego zamczyska. W kotle przeraźliwie krzyczały małe, nagie dzieci. Ich głosy powielało echo, nadając bardziej przerażające brzmienie. Płakały,



krzyczały
i próbowały
wydostać się na zewnątrz.
– Jak będziesz niegrzeczna,
to za karę pójdziesz do piekła –
pamiętam rodzicielską przestrogę.
Za małymi, ledwie widocznymi
drzwiami stały ubrane dzieci,
nieświadome wydarzeń

wewnątrz pieczary. Stały jedno za drugim, a kolejka ciągnęła się w nieskończoność. Zapytane czemu tutaj trafiły mówiły cichutko

- byłem niegrzeczny,
- uderzyłem kolegę,
- nie chciałam zjeść kolacji,
- garbiłam się,
- nie wyszłam z psem,
- nie zjadłam szkolnego śniadania...

W ich oczach widać było lęk, wiedziały, że stoją po swoją karę.

Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, ale kiedy jako dziecko byłam porównywana z innymi dziećmi, bądź też wymuszano na mnie posłuszeństwo i dyscyplinę często stawał mi przed oczami obraz smażonych dzieci.

Kiedy tak stojąc nieopodal bezdomnych obraz powrócił jak dalekie wspomnienie. Jak myśl, którą próbujemy zakopać głęboko w pokładach nieświadomości i powiesić kartkę na drzwiach: wstęp surowo wzbroniony. Ale kiedy chcemy odgonić złe wspomnienia, one powracają do nas ze zdwojoną siłą. Jak zguba, której nigdy nie chcemy odnaleźć.

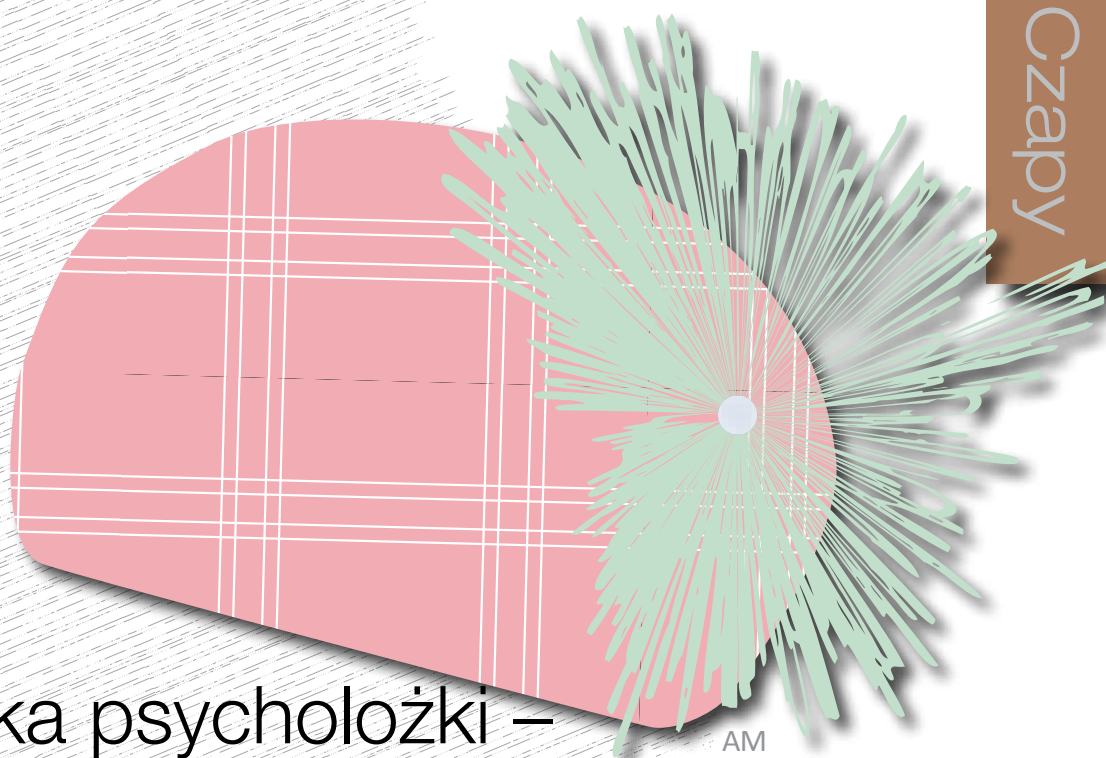
Czasem zastanawiałam się jak to jest możliwe, że jedno, jedyne słowo może stworzyć w małej główce traumatyczny obraz, który prześladowuje nas nawet

w dorosłym życiu. Kociot – pomyślałam i poczułam jak dostaję „gęsiej” skórki, moim ciałem potrzęsnał silny dreszcz.

Każdego dnia wypowiadamy tysiące słów, czasem zastanawiamy się nad nimi, a czasem płyną nam z ust niczym spontaniczny i bezwiedny potok. Słowa służą nam do komunikacji z drugim człowiekiem niezależnie czy jest to dorosła osoba, czy też dziecko. Bardzo często słowom towarzyszą obrazy, które powstają w naszej wyobraźni i które przybierają różne formy. Raz są to bajeczne optymistyczne wizje, a czasem... Zastanawiałam się czy potrafię wokół siebie stworzyć świat bez porównań, bez krytyki z dużą dozą tolerancji dla swoich bliźnich. Czy taka świadoma kontrola jest możliwa, czy można się tego nauczyć? Czy potrafimy tak zbudować swój wewnętrzny świat, aby myślami i słowami nie ranić? Czy gotowi jesteśmy podjąć taki wysiłek?

Poczułam chłód na całym ciele, naciągnęłam mocniej kołnierz i skierowałam się z powrotem na niewielką ścieżkę prowadzącą do domu.

T.K.



Z pamiętnika psycholożki – amatorki: o tym jak wykryłam prokrastynację i co z tego wynikło

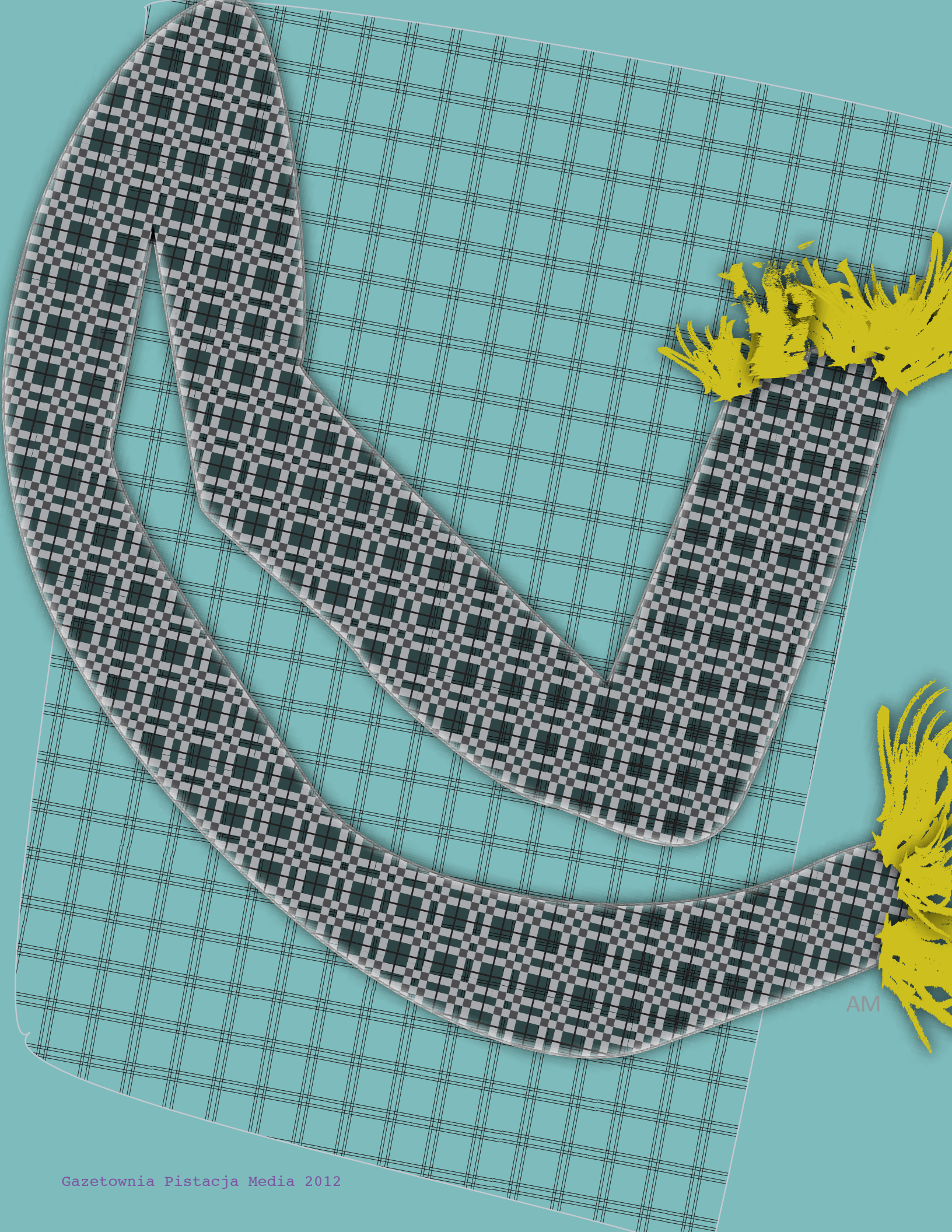
Karolina Dyja

Mam ferie. Zasadniczo powinienam uczyć się do matury. Tymczasem robię sobie drugą kawę i wybieram przyjemność – w tym przypadku pisanie artykułu. Dlaczego?

Mama i babcia (niedościgłe ideały, jeśli chodzi o organizację pracy) powiedziałyby, że jestem leniwa. Być może. Lenistwo to jednak dość pospolite słowo. Jeden z grzechów głównych. Nie podoba mi się. Szukam ładniejszego epitetu.

Eureka! Znalazłam. Mądre określenie razem z naukową interpretacją. Od tej chwili nie jestem leniwa – chyba mam *prokrastynację*.

Co to takiego? Według psychologów prokrastynacja (nazwa wzięta się od łacińskiego słowa *procrastinatio* – odroczenie, zwłoka) to – w uproszczeniu – chorobliwa tendencja do odkładania wszystkiego na później. Często ujawnia się w latach szkolnych, zwłaszcza u osób utalentowanych. W obliczu trudniejszego zadania tracą one



AM



wiarę w siebie i nie wykonują zadania. Co ciekawe, prokrastynacja nie oznacza beczynności – prokrastynator chętnie podejmuje inne, niezwiązane z problematycznym zadaniem zajęcia. Postępowanie osoby dotkniętej tą przypadłością można podzielić na mniej więcej dziesięć etapów: chęć zrobienia czegoś, decyzję o zrobieniu tego, odkładanie czynności z obawy przed porażką, uświadomienie sobie niekorzystnych skutków odkładania czynności, kontynuacja odkładania, szukanie wymówek bądź odejście od problemu, odkładanie zadania, wykonanie zadania w ostatniej chwili, ukończenie go za późno, bądź niezrobienie go wcale, postanowienie niepostępowania w ten sposób w przyszłości, powtarzalność tego schematu przy kolejnym zadaniu.

Prokrastynacja może mieć różne przyczyny. Najczęściej ma swoje podłoże w rodzinie: zbyt dużych wymaganiach, niestabilnej sytuacji rodzinnej i ogólnym niedowartościowaniu prokrastynatora.

A więc wiemy już, z czym mamy do czynienia. Pora na amatorską diagnozę: prokrastynacja czy lenistwo?

Punkt pierwszy: czy chorobliwie odkładam czynności na później?

Owszem, nawet dosyć często. Szczególnie te, których bardzo nie lubię – najczęściej chodzi o prace domowe z matematyki i sprzątanie wokół siebie. Czy chorobliwie? Raczej nie. 1:0 dla lenistwa.

Punkt drugi: grupa ryzyka.

Po dłuższym zastanowieniu się stwierdzam, że chyba nie jest tak źle. Tracę wiarę w siebie tylko w sytuacjach ekstremalnych. 2:0 dla lenistwa.

Punkt trzeci: schemat myślowy prokrastynatora.

O, nareszcie coś się zgadza! Jeśli już coś odkładam, myślę dokładnie w taki sposób. 2:1 dla lenistwa.

W tym momencie kończą mi się punkty porównawcze. Wygląda na to, że naukowe wytłumaczenie nie zda egzaminu. Bywam po prostu pospolitym leniwcem. Pora wziąć się za siebie.

K.D.



a

ł o ó c

s

Piruetety wokół

Joanna Wroczyńska

„Gdy tancerz tańczy, ziemia pod nim jest święta” – Martha Graham

Najprościej mówiąc, taniec to ruch wykonywany ze współudziałem muzyki, zawierający pewien przekaz, emocje. Ale to brzmi co najmniej dziwnie i wcale mi się nie podoba. Nie wyobrażam sobie czystego „teoretyzowania” tańca. Dla mnie jest to zjawisko, z którym wiążą się przeżycia - zarówno estetyczne jak i emocjonalne, dotyczące tak samo tancerza jak i widza.

Taniec to coś więcej niż machanie kończynami w rytm muzyki. Wyróżnia

go skrajna różnorodność. Może wyrażać subtelność i piękno jak balet, targać nim mogą silne emocje, jak w tańcu współczesnym, może być seksowny jak salsa, uwodzicielski niczym tango, widowiskowy jak jazz, czy energetyczny jak hip hop. Ale nie trzeba katalogować tańca by zauważyć, że pojawia się on wszędzie – na każdej długości i szerokości geograficznej. Nie ma kultury, która nie zawierałaby w sobie tańca, ponieważ jest on nieodłącznym jej elementem. Myśląc o słowach Marthy Graham nasuwa mi się

wniosek, że Ziemia to nie tylko kolejny element układu słonecznego, ale prawdziwa bogini - która kręciła, kręci i będzie kręcić piruety wokół słońca... bez końca!

A co ma kocioł do tańca? Bo przecież wypada mi nawiązać do słowa miesiąca. Już tłumaczę – otóż jest to element, który wywodzi się z pogo. Tłum widzów, skaczących w rytm muzyki na koncertach, to właśnie pogo. Ale mimo iż sprawiają oni wrażenie zupełnie spontanicznie przeżywających chwilę ludzi, to

mają elementy jednoczące ich w tańcu. Jednym z nich jest właśnie kocioł. Polega na złapaniu się nawzajem za ramiona i tańczeniu w kole. Jak widać taniec jest naprawdę wszędzie! Bardziej wrażliwa dusza powie, że drzewa tańczą na wietrze, że ławica ryb czy klucz ptaków to także rodzaj tańca. Ja nie będę analizować świata fauny i flory, zostanę przy tańcu jako tworzywie kultury ludzkiej. Ale warto sięgać wyobraźnią tak daleko i pamiętać, że jest to zjawisko otaczające nas ze wszystkich stron.

Tymi słowami chciałam się przywitać na łamach „Gazetowni” w nowej rubryce, w której będę pisała o tańcu. Dlaczego właśnie o tym? Ponieważ jest to moja pasja, której poświęcam się od dzieciństwa. Postanowiłam więc podzielić się przemyśleniami i ciekawostkami, które w sposób subiektywny będę dobierać i opisywać w tej rubryce... na temat pięknej sztuki tańca.





WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon
powieść w odcinkach
cz. V

Wtedy dobiegł je odgłos ciężko biegnącego człowieka. Biegł Oswald.

– Marianna, Marianna! – oderwała się od swojej pracy przy rozkładaniu ziół i podeszła do furtki. Chłopak akurat do niej dobiegł.

– Co się stało? O co chodzi Oswaldzie?

– Mój ojciec, mój ojciec – wysapał z siebie chłopak – mój ojciec spadł z dachu i leży teraz bez życia. – Marianna wbiegła do izby, złapała torbę, inną niż ta, z którą zbierała zioła i nie zastanawiając się więcej pobiegła za chłopakiem.

Odina obserwowała całą scenę z zainteresowaniem. Gdy wszystko ucichło, ponownie zajęła się tkaniem. Znała już takie sytuacje. Przy niej już była. Niespecjalnie ją to interesowało. Zamyśliła się, zostawiwszy nie przewleczoną do końca nić na osnowie. Ujrzała zamek o drewnianych, najeżonych murach. Widziała go już, kiedy były z matką na jarmarku na podgrodziu. Wtedy dokładnie się mu przyjrzała. Widziała jak się otwiera brama. Myślała, że za tą bramą i tymi murami mieszkają ludzie zupełnie inni od niej, od miesz-



kańców wioski. Zupełnie inni. Wyżsi, piękniejsi, dostojni, mądrzejsi. Mądrzejsi nawet od Marianny. Miała wrażenie potęgi osób mieszkających za tymi obwarowaniami. Widziała przez uchyloną bramę studnię z żurawiem. Matka odciągała ją od wejścia, ale odchodziła z oporami. Ciągłe się oglądała. Ciekawa tamtych. Zobaczyła dzięki temu przystojnego, uśmiechniętego chłopaka. Miał ciemne płonące oczy i delikatny pierwszy wąs pod nosem. Wyszedł przed bramę. Śmiał się, rozmawiając z drugim mężczyzną. Byli podobni do siebie. Pewnie byli rodzeństwem. W jego ruchach była radość i pewność siebie. Zadowolenie. Czasem pojawiał się teraz w jej marzeniach. Kiedyś we śnie podszedł do niej i zagadnął. Spłonila

się na samą myśl o tym. Potrząsnęła głową i pracownicę wróciła do tkania. Tak, tam na zamku to było zupełnie inne życie.

Marianna biegła za Oswaldem najszybciej jak potrafiła. Biegając, zastanowiła się jak to będzie, kiedy będzie już tak stara, że nie będzie mogła chodzić, ale czym prędzej porzuciła tę myśl. Dobiegli do nowo budowanego domu na krańcu wsi. Gromada ludzi zbili się przed nim i słychać było narzekania i lament. Płacz jakiejś kobiety. Marianna dobiegła do nich. Oswald krzyczał z daleka, że już jest. Ludzie rozstąpili się, czyniąc jej przejście. Krzyknęła na nich, aby się odsunęli bardziej. Lamentującej kobiecie, żonie leżącego, nakazała przynieść szma-



ty, zimną i gorącą wodę. Uklęła przy mężczyźnie. Objęła wzrokiem jego ręce, a następnie nogi. Jedna z nich była nienaturalnie wykrzywiona. Sterczała z niej kość. Jak złamana gałąź. Przyjrzała się temu dokładnie. Następnie zamknęła oczy i mocno potarła twarz dłońmi. Ściągnęła usta. Wymówiła kilka sobie tylko znanych słów. Nakreśliła nad leżącym znak gwiazdy. Po tych czynnościach powoli, niezwykle delikatnie zaczęła dotykać ręce i plecy leżącego. W miarę jak dotykała kolejnych partii jego ciała usta jej się rozciągały i zaczęły powracać do pierwotnego stanu. Dokładnie obmacała także głowę i uchyliwszy powieki zadrżała w jego źrenice. Uniosła głowę zadowolona ze stanu jaki zastała. Otaczający ją ludzie

patrzyli w ciszy i skupieniu na jej gesty. Wezwała do siebie dwóch potężnych mężczyzn stojących naprzeciwko niej.

– Będiesz trzymał go mocno za ramiona – pokazała mu sposób w jaki miał schwycić nieprzytomnego – a ty – zwróciła się do drugiego – pomożesz mi pociągnąć tę nogę. – Oswaldzie przynieś dwie deseczki, proste – mocno zaakcentowała to słowo – i najlepiej tej długości – pokazała długość, poprzez rozstawienie rąk.

Chłopak pobiegł na poszukiwania. Marianna zauważyła jeszcze, że wymknęła się za nim młoda dziewczyna. Nie знаła jej. Zdziwiło ją to. Brakowało jednak czasu, aby się nad tym zastanawiać. Poszperała w przyniesionej



przez siebie torbie. Do gorącej wody wsypała wyciągnięty proszek i mrużąc do siebie jakieś niezrozumiałe słowa rozmieszała go odwiniełą ze szmatki drewnianą łyżką. Zamoczyła w wywarze jedną ze szmat i unosząc ją na łyżce podała kobiecie:

– Ostudź ją, ale tak, aby ci nigdzie nie upadła, bo inaczej twojemu nogą zropieje – zarządziła.

Kobieta z drżeniem wyciągnęła dłoń po łyżkę. Wzięła ją ostrożnie.

– Odejdź stąd teraz – rozkazała jej następnie wiedźma i machnęła rozkazująco dłonią.

Kobieta posłusznie wykonała polecenie. Wyszła poza krąg ludzi, patrząc z niepokojem na niesioną przez siebie szmatę. Ludzie rozstą-

pili się bezszelestnie. Jakby była to najważniejsza rzecz na świecie. Marianna gestem dłoni pokazała mężczyznom, aby przystąpili do leżącego. Jeden z nich złapał go pokazanym wcześniej chwytem, a drugi wraz z nią ujął nogę. Mężczyzna u nasady, ona przy palcach. – Gdy powiem już, ciągnąć, ze wszystkich sił – nakazała jeszcze i poprawiła uchwyt dłoni, dokładniej obejmując kostkę rannego. – Już! – krzyknęła i pociągnęła ze wszystkich sił.

W ciele nieprzytomnego coś stęknęło, chrupnęło, mężczyzna ocknął się na chwilę, krzyknął, a następnie znowu zemdłał. Marianna upewniła się dłońmi, że wszystkie kości znalazły się na swoim miejscu. Zimnym już wywarem przemyła ranę, aby była jak naj-



bardziej czysta. Wzięła przyniesione przez Oswalda deseczki i zawołała kobietę. Następnie obłożyła nogę mężczyzny. Kobieta podała jej trzęsącą się dłonią szmatę na łyżce. Marianna przyłożyła ją, a potem owinęła czystymi szmatami całą łydkę rannego.

– Zanieście go do domu – nakazała otaczającym ją ludziom. Teraz dostrzegła przypatrującego się jej Biorga. Podszedł, aby wraz z innymi unieść leżącego. Nie zaprzętnęła sobie tym głowy. Cały czas szeptała niezrozumiałe dla innych słowa. Poszła za mężczyznami. Gdy dotarli do chaty i mężczyzna został położony, zwróciła się do kobiety:

– Gdy się ocknie, daj mu do wypicia wywar z tych ziół. Gotuj go tylko chwilę na małym, jasnym

ogniu, a potem odstaw aż nabiorą mocy, przejdź w tym czasie dom naokoło – one go uspokoją i ukoją jego ból. Naszykuj czyste szmaty, aby jak przyjdę jutro można było je zmienić. Twój mąż tylko ma złamaną kość – mówiła, jakby z góry. – Nic więcej mu nie jest. Nim minie lato znowu będzie chodził i dzieci robił.

Kobieta uśmiechnęła się uspokojona. Marianna zaś wyciągnęła jeszcze z torby woreczek z jakimś proszkiem i podając go kobiecie dodała – w tym nasącz szmatę, aby przemywać jego ranę. Tak, jak ja to teraz robiłam. – Po tych słowach wyszła z izby. Już spokojnie poszła w kierunku swojego wzgórza. Uniosła twarz do słońca i pozwoliła promieniom buszować po swo-

ich policzkach. Nie zwracała uwagi na spoglądających na nią zza płótów ludzi. Nie słuchała ich szepków. Po powrocie zastała na stole duży worek mąki, jakim zapłacili jej chłopi ze wsi.

– Dziękuję ci, to był dobry dzień – wyszeptała, kładąc się o zmierzchu spać.

Niedziela była ciepła. Poprzednie dni pochmurne i deszczowe, nie dawały nadziei na taką pogodę. Nie zapowiedziane słońce rozjaśniło bezchmurne niebo. Marianna tak, jak obiecała udała się z Odiną na święto. Tańczącym, na głównym placu wsi, grała kapela złożona z mieszkańców. Na stojącym obok niej stole wystawiono różne potrawy. Do nich najpierw skierowała się Marianna

i postawiła misę z upieczonymi małymi placuszkami. Odina zbliżyła się do tańczących. Nogi rwały się jej do tańca, ale nikt do niej nie podchodził. Rozglądała się po obecnych, ale albo spuszczała oczy, albo odwracali głowy. Zdziwiła się. Nieomy niepokój znowu powrócił. Do Marianny zbliżyła się niemłoda już kobieta i zaczęła uskarżać się na bóle w piersiach. Wiedźma zapewniła ją, że tak, że ma zioła, aby temu ulżyć, ale teraz ich ze sobą nie przyniosła, jeżeli jednak są natychmiast potrzebne to po nie pójdzie. Rozmówczyni ucieszyła się i zapytała, czy zapłata taka jak zwykle? Marianna potwierdziła. Potem podeszła do córki i powiedziała jej, że musi chwi-



lowo zostać tu sama. Czy da sobie radę? Czy tego chce? Tak, Odina chciała zostać i chociaż popatrzeć jak się bawią inni. Po raz pierwszy matka pozwoliła jej przyjść na niedzielną zabawę i teraz chciała to jak najlepiej wykorzystać.

Marianna powędrowała sama w kierunku wzgórza. Na krańcu wsi przyłączył się do niej Biorg.

– Piękny dziś dzień – zagadnął na powitanie.

– Piękny – potwierdziła nie odwracając głowy. Zapanowała chwila kłopotliwego milczenia.

– Nigdy jeszcze cię nie widziałem na zabawie...

– Bo nigdy nie przychodziłam – odparła, nie zmieniając tonu głosu – obiecałam Odinie, że z nią przyjdę. Musi zacząć

bywać między ludźmi, musi nabierać ogłady – popatrzyła na niego wreszcie, lecz natychmiast spuściła wzrok.

– A ty nie chcesz tańczyć z innymi? – zapytał.

– Ze mną nikt nie chce tańczyć, więc nie ma o czym mówić.

– Ja chętnie bym z tobą zatańczył – powiedział cicho, lecz na tyle głośno, aby go usłyszała.

K.B.C.

Odeszła Noblistka

Debiutowała w 1945 roku wierszem „Szukam słowa”. Znalazła ich wiele i dzisiaj znana jest szerokim kręgom odbiorców zarówno w kraju, jak i zagranicą z subtelnych utworów łączących pięknie lirykę z groteską i pragmatyką.

*Kiedy wymawiam słowo Przyszłość,
pierwsza sylaba odchodzi już do przeszłości (...)*

Kiedy wymawiam słowo Nic,
stwarzam coś, co nie mieści się w żadnym niebycie.

W laudacji noblowskiej w 1996 roku napisano: „W Wisławie Szymborskiej Szwedzka Akademia chce uhonorować przedstawicielkę niezwyklej czystości i siły poetyckiego spojrzenia. Poezji jako odpowiedzi na życie, sposobu na życie, pracy nad słowem jako myśłą i wrażliwością. Wiersze Wisławy Szymborskiej to perfekcja słowa, wysoce wyczelowane obrazy, myślowe allegro ma non troppo, jak nazywa się jeden z jej wierszy. Jednak ciemność, której nie ulegają one bezpośrednio, wyczuwa się w nich tak, jak ruch krwi pod skórą”.

9 lutego br. urna z prochami Wisławy Szymborskiej spoczęła w skromnym grobie jej rodziców na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Noblistka życzyła sobie, aby na jej pogrzeb nie przynosić kwiatów, a pieniądze przekazać na wybrane hospicjum. Czyżby to nowa tradycja? Czyżby kwiaty z nieznanych dziś jeszcze planet wieńczyły inny grób, w którym leży nowego człowieczeństwa Adam? Pogrzeb miał charakter świecki. Na uroczystość przyjechały cztery najważniejsze osoby w państwie, było kilku ministrów i posłów, niektórzy nawet nie zdjęli beretów, bo mróz, bo uroczystość świecka. W samo południe, w momencie rozpoczęcia pogrzebu zamiast hejnału z wieży mariackiej popłynęła melodia piosenki do słów wiersza Noblistki „Nic dwa razy się nie zdarza”. JSW.



Przepis na domowe Koty

Przepis na domowe koty:

Składniki: 2/3 kostki masła, 3 szklanki mąki, 1 szklanka drobnego cukru, aromat waniliowy, jajko, łyżeczka sody oczyszczonej.

Masło utrzeć mikserem dodając powoli cukier, następnie dolać roztrzepane jajko i kilka kropel aromatu, na koniec dosypać przesianą mąkę z sodą.

Wyrobić ciasto i zagnieść w kulę, którą należy odstawić do lodówki przynajmniej na pół godziny. Następnie wyjąć i po kawałku wałkować ciasto i wykrawać ciasteczka.

Należy je piec ok 13 minut w piekarniku nagrzanym do 180 stopni Celsjusza.

Kreatywnych zachęcam do zdobienia - ja w przypadku kotów użyłem siemienia do oczu i nosków, oraz roztopionej gorącej czekolady do pręgów i łatek.

Smacznego!

Antek

Patelnia czyli niezły kocioł

Katarzyna Drzazgowska

Najczęstsze miejsce spotkań warszawiaków to tak zwana patelnia, czyli niewielki okrągły placyk przed południowym wyjściem z metra Centrum. Wielokrotnie przechodząc tamtędy zadawałam sobie pytanie *Dlaczego właśnie patelnia*? Bardziej adekwatny mógłby być garnek, ponieważ miejsce to znajduje się w zagłębieniu i patelnia zdaje się odrobić zbyt płaską nazwą. A najlepiej pasowałby kocioł. Nie tylko ze względu na kształt, lecz także, a może nawet przede wszystkim, na wzmożony ruch i pośpiech osób przemierzających tę przestrzeń. Niewątpliwie na naszej patelni wrze jak w kotle. Gdyby policzyć ilość osób przewijających się przez nią jednego dnia, otrzymany wynik niejednego mógłby przyprawić o ból głowy. Widok ten stanowi swoisty fenomen. Patrząc z góry można odnieść wrażenie, że to nie pojedyncze osoby, lecz fale pojawiają się nie wiadomo skąd i znikają w czeluściach metra.

Poruszanie się w tej przestrzeni w godzinach szczytu to nie lada wyzwanie nawet dla rodowitych warszawiaków, a co dopiero dla przyjezdnych. Prawostronny

ruch raczej tu nie obowiązuje, patelnia przypomina raczej ogromne rondo bez świateł ani znaków. Przewodnią zasadą jest kto pierwszy, ten lepszy oraz prawo dżungli, czyli racja jest po stronie silniejszego. Rzadko usłyszymy słowo *przepraszam* czy *dziękuję*, natomiast na krytyczne komentarze i strofowanie bardzo łatwo zasłużyć. Wystarczy iść zbyt wolno bądź zbyt szybko, nagle zmieniać kierunek ruchu, zatrzymać się albo krzywo na kogoś spojrzeć. Jak zaznaczyłam na początku jest to także bardzo popularne miejsce spotkań, więc żadnych trudności nie przysporzy dostrzeżenie sporej liczby oczekujących. Oczywiście nie można czekać na środku tego ruchliwego skrzyżowania, więc główne miejsce dla wyczekujących znajduje się pomiędzy dwoma wejściami do metra. Oczekujący także mogą łatwo narazić się na dezaprobatę pozostałych poprzez wykonywanie zbędnych ruchów, kręcenie się w kółko albo zajęcie niewłaściwego miejsca, więc muszą mieć się na baczności.

Oczekujących można podzielić na kilka kategorii. Pierwszą stanowią osoby umówione na spotkanie z ukochaną/ukochanym. Rozróżnienie ich nie wymaga specjalnych zdolności. Dziewczęta bowiem

zwykle ubrane są bardzo modnie, zgodnie z ostatnimi trendami, nieustannie zarzucają włosami, zerkają w szybę, by poprawić makijaż i rozglądają się niezwykle energicznie w poszukiwaniu chłopaka, który najwyraźniej się spóźnia. Pano wie są mniej nerwowi w poczynaniach, ale często ich zamiary zdradza kwiatek bądź nawet cały bukiet przeznaczony dla wybranki. Jeśli ukochana się nie zjawia, zazwyczaj dzwonią zapytać, kiedy przybędzie. Panie natomiast ograniczają się do wyjęcia telefonu i rzucenia mu karzącego spojrzenia pod tytułem *dlaczego on do mnie nie dzwoni*. Czas oczekiwania na partnera/partnerkę nie przekracza zwykle 15 minut. Druga kategoria to paczka znajomych, którzy umówili się w sobie tylko znanym celu i postanowili wykorzystać czas oczekiwania na spóźnialskich, lansując się w samym centrum. Grupy te są zwykle dość hałaśliwe, czasami komentują pozostałych przechodniów, a spędzanie czasu na patelni to ich codzienność. Wcale nie sprawiają wrażenia zdenerwowanych, że ktoś się spóźnia. Wprost przeciwnie. Zyskują kilka bezcennych minut, by chłonąć wielkomiejski klimat. Bardzo specyficzną i łatwo rozpoznawalną kategorią osób przebywających na patelni są turyści, czy ogólnie przyjezdni. Ich znakiem rozpoznawczym jest panika na twarzy, brak zdecydowania w ruchu, kręcenie się w kółko oraz próba nawiązania kontaktu z innymi osobami w celu uzyskania informacji. Ta ostatnia cecha dotyczy tylko tej grupy. Pozostali bowiem wiedzą, że patelnia to nie miejsce na ucina-

nie sobie pogawędek, gdyż wszyscy się śpieszą, każdy zmierza w swoją stronę i chce jak najszybciej osiągnąć wyznaczony cel, zderzając się po drodze z jak najmniejszą liczbą osób. Biedni turyści nie zdają sobie jednak sprawy, że nie jest to najlepsze miejsce do komunikowania się i próbują uzyskać rozmaite informacje, zwykle z opłakany skutkiem. Być może tu właśnie swoje źródło ma stereotyp niesympatycznego, zaganianego warszawiaka.

Patelnia to jednak nie tylko ludzie oczekujący, lansujący się bądź zagubieni w wielkim mieście. Dla części osób to miejsce pracy, występów czy niepowtarzalna możliwość publicznego zaprezentowania swoich talentów. Można tu usłyszeć muzykę, podziwiać tancerzy, malarzy, kupić kwiaty. Stałym bywalcem jest pan grający na krześle. Swego czasu furorę robiły koncerty Gienka Loski, który potrafił zebrać sporą rzeszę widzów i słuchaczy, i spowodować, że ludzie zatrzymywali się na chwilę, robiąc przerwę w tym szalonym biegu. Trudno ominąć to miejsce, gdyż jest w ścisłym centrum Warszawy i stanowi dobry węzeł komunikacyjny w wielu kierunkach. Rano dorośli zmierzają do pracy, młodzież do szkoły, wieczorami gromadzą się tu grupy znajomych przed wyjściem na imprezy. Nawet w godzinach, w których metro przestaje kursować, kręcą się zbłąkani wędrowcy. Patelnia to miejsce, które nigdy nie śpi.

K.D.

Wszystko ma swój

Z Małgorzatą Ostrowską-Królikowską
o życiu, aktorstwie i gotowaniu
rozmawia Katarzyna Bogucka



czas i miejsce



Czy w Pani życiu, tak jak w serialu, ciągle coś się „gotuje”?

Ciągle coś się „gotuje”, ale to lepsze niż pustka. Mam piątkę dzieci i tyle rzeczy się wokół dzieje. Oczywiście, czasami myślałam: gdybym była sama, to bym sobie spokojnie żyła, na wszystko miała czas, robiła co chciała. Teraz rzadko mam takie myśli. Dobrze, że mam dużą rodzinę i ciągle się coś „gotuje”. To prawdziwe życie, nie wymyślone, nie wykreowane lecz najprawdziwsze. Uświadamiam sobie to mocniej, obserwując moją chorą mamę, która z nami zamieszkała. Myślałam, że będzie chciała być w swoim domu, gdzie ma spokój i ciszę. Jednak ona najwyraźniej lubi jak stale się coś dzieje: przychodzą dzieci ze szkoły, ktoś się pokłóci, ktoś przeprosi, z kuchni idą zapachy domowego obiadu, jakiś gość zadzwoni do drzwi... A ten kotolik sprawia, że mama nie ma czasu na rozpamiętywanie, po prostu żyje i to jest ważne.

Jak można połączyć prowadzenie domu z zawodem?

Nie jest to łatwe. Bywały trudne wybory, np. kiedy byłam w ciąży dostałam kilka ciekawych propozycji z teatru i musiałam z nich zrezygnować. Pewnie .. początkowo szarpało mnie. Mimo to gdzieś podświadomie czułam, że nie mogę postawić na jedno. A że wszystko zaczyna się od myślenia, to działałam według własnych myśli.

Jak pracowałam w teatrze we Wrocławiu, to życie toczyło się szybko: dzieci do przedszkola, próby, spektakle i czasem w tym kotle, Ja młoda mama, zupełnie zapominałam o swoich matczynych obowiązkach. Ale przyszedł taki moment, kiedy trzeba było się zastanowić, co wybrać. Pomalutku uczyłam się mówić „nie”. Nie można było brać wszystkiego. Starłam się znaleźć swoje miejsce w tym zawodzie, które będzie sprawiać mi przyjemność, a nie będzie boleć i kolidować

z życiem rodzinnym. Chciałam chodzić do pracy uśmiechnięta i szczęśliwa. I udało się, ale nie z dnia na dzień.

Czy aktor ma czas, żeby myśleć po swojemu?

Oczywiście, że ma, ale do tego trzeba dojrzeć. Trzeba wykorzystać własną inteligencję emocjonalną, by pozwoliła nam się odnaleźć w życiu. To dotyczy wielu rzeczy i myślę, że dużo ludzi właśnie ma taki problem: mówi, że pisze wiersze, a nie pisze, mówi, że robi konfitury, a ich nie robi. I tak stwarzany jest wizerunek człowieka mądrego, zdolnego, np. świetnego kucharza, Wiele głupot robi się dla wizerunku: kocha psy czy ubóstwia dzieci, nic o nich nie wiedząc. I w moim życiu był taki czas, że robiłam coś, by przypodobać się innym. To było takie wymyślanie. Teraz nie muszę nic udawać. Mam dzieci, mam prawdziwy dom i prawdziwego psa. To właśnie żyjąc tworzymy własny wizerunek. Przypuszczam, że wiele osób publicznych gubi się, bo zakładanie kolejnej maski jest strasznie ciężkie. Muszę przyznać, że nie chciałabym być osiemnastolatką, która dopiero poszukuje, określa się na świat, na ludzi, na wszystko co ją otacza. To bywa bardzo męczące. Fajnie jest żyć prawdziwie. W dużym stopniu pomógł mi *Klan*. Z serialem dojrzewałam nie mało, bo 15 lat. I dzisiaj mogłabym powiedzieć, że jestem już osobą określoną.

W prawdzie na początku nie lubiłam postaci, którą gram. Teraz uważam, że rola Grażynki pomogła mi ułożyć się wewnątrz. W zetknięciu z nią uświadomiłam sobie dużo własnych wad i zaczęłam z nimi walczyć. Bywało, że na festynach czytałam książki dla dzieci, a własnym dzieciom nie czytałam od dawna... I to właśnie mnie bolało, że coś mam wykonać wobec innych, a nie wykonuję wobec najbliższych i wobec siebie. Zmieniając się dojrzewałam łapiąc cegiełki i budując w sobie stabilny kręgosłup, mocny mur ceglany. Życie to bardzo fajna przygoda i tylko od nas zależy jak będziemy postrzegać je.

Czym dla Pani jest aktorstwo?

Aktorstwo to udawanie, to bycie na chwilę w innych światach. Oczywiście, że początkujący aktor ma marzenia, by grać tylko piękne rzeczy. W moim wyobrażeniu miałam zostać lekarzem dusz, swoją grą sprawiać, by widz przeżywał *katharsis* w teatrze. Podobnie jak mnie się to zdarzyło oglądając *Woyzeck'a* Büchnera w reżyserii Tadeusza Minca, czy *Dzieje grzechu* w kinie. Takie doznania mają wpływ na nasze życie i na określanie się wobec świata. Ale jest to ściśle

połączone z dojrzałością emocjonalną widza. Dlatego tak ważne jest co oglądają nasze dzieci, co my czytamy ..

Może jestem mało nowoczesna, ale według mnie wszystko ma swój czas i miejsce. I chyba nie jest dobrze, gdy chcemy coś wyprzedzić. Wiem, że to nie jest łatwe. Sama mam wyrzuty co do moich synów, że za wcześnie ich zabrałam na film *Tańcząc w ciemnościach*. Mnie się tak podobał, że chciałam go obejrzeć jeszcze raz. Nie miałam z kim zostawić chłopców, więc poszliśmy razem. Bardzo przeżyli ten film, ale na szczęście rozmawiamy. Film, książka, teatr to dobra okazja, by poruszyć wiele tematów. U nas w domu lektura Roberta Szmida w okresie dojrzewania dzieci była punktem wyjścia do dyskusji i sprzeczek. Miałam szczęście, że chłopcy łapali temat i można było z nimi rozmawiać.

Dlaczego została Pani aktorką?

Od wczesnych lat chciałam być aktorką i do dzisiaj mam notesik z zapiskami na jakiej sztuce byłam, kto reżyserował, kto grał. Wychowywałam się na teatrze telewizji, dobrym teatrze telewizji z Łomnickim, Kociniakiem, Michnikowskim, Kwiatkowską i wieloma wielkimi aktorami artystami. Oczywiście dzisiaj wiem, że aktor to nie jest taki artysta jak sobie myślałam i nie ma aż takiej mocy. Aktorstwo to jest pewnego rodzaju rzemiosło. Dla mnie artystą jest ten, który tworzy od początku, tak jak poeta, czy malarz, a aktor przetwarza.

Tak bardzo chciałabym, żeby grano w teatrach piękne sztuki, ale my aktorzy tylko jesteśmy od grania. Repertuar zależy od menadżerów, dyrektorów, a będąc na etacie w teatrze musimy grać wszystko. Czasami dostaję propozycję zagrania w teatrze i czytając tekst zastanawiam się, czy warto poświęcać swój czas. Farsa to fajna sprawa, ale już to grałam. Kiedyś to było nowe, teraz gdziekolwiek pójdziesz to farsa i farsa albo lekka komedia – bo podobno na to jest zapotrzebowanie. Ale właściwie skąd wiemy, że nie będzie tej oglądalności, kiedy wróci klasyka do teatru lub współczesne sztuki będą podejmować niełatwe tematy?

Uczenie się tekstu na pamięć nie jest dla mnie trudne. To też jest pewnego rodzaju predyspozycja do bycia aktorem. Ale czasami jak w scenariuszu są źle napisane dialogi, takie jakieś drewniane, nie prawdziwe, to nie mogę tego zapamiętać, bo umysł i ciało zaczynają się buntować. Dla aktora genialne są role-wyzwania, które wymagają nabycia nowych umiejętności. Marzę o takiej roli.

W *Klanie* już nie zastanawiam się nad postacią Grażynki. Jedynie analizuję wydarzenia, żebym wiedziała, która scena powinna być zagrana na wesoło, która bardziej sentymentalnie, żeby potem móc ułożyć pewną strategię z reżyserem.

Czy każdy młody człowiek może zostać aktorem?

Aktorem nie może być każdy, choć często się spotykam z opinią, że to takie proste. Czasami jak przychodzą nowi statyści, to widać jak ich wyobrażenie o pracy na planie okazuje się mylne. Często wtedy możemy usłyszeć: za żadne skarby nie chciałbym być aktorem. Widzą, ile razy trzeba powtórzyć daną scenę. Jest to dla nich nudne i nie do wytrzymania. A trzeba wziąć pod uwagę, że każdy z ekipy ma prawo się pomylić i że jest to praca zbiorowa. Trzeba umieć się dostosować, trzeba być skoncentrowanym i czy słońce, czy deszcz dyspozycyjnym. Plan zdjęciowy to wielki kocioł, ale myślę, że *Klan* to kocioł z dobrą zupą. Teraz kiedy miałam grać sceny związane ze śmiercią Rysia, miałam taką refleksję, jaka jest różnica między graniem w serialu a fabule? Tak samo muszę zagrać, tyle samo muszę włożyć energii i własnej wrażliwości. Gram tak samo, jedynie inaczej jest to pokazane, bo w fabule są większe pieniądze, inny sprzęt, większa ekipa. Bardzo lubię to co robię, pomimo znanej opinii o serialowych aktorach. Myślę, że ważne, by każdy żył po swojemu i żebyśmy mniej oceniali innych.

W ogólnej opinii Rysio nie był łamaczem kobiecych serc?

Myślę, że Rysio był fajną postacią. Był bardzo prawdziwy i trochę nie rozumiem, dlaczego naśmiewali się z niego, z naszej serialowej rodziny. To przecież dość powszechny model polskiej rodziny. Mam wrażenie, że w naszym kraju niby się mówi dobrze o rodzinie, ale tak naprawdę nie szanuje się kobiet, a ostatnio także mężczyzn pracujących w domu. A ta praca wielokrotnie wymaga więcej umiejętności niż to co robi się w prestiżowych biurach. Nie ma tak naprawdę polityki prorodzinnej, nie ma dla takich osób emerytur, pomocy. Wiem, ile jest pracy w domu i to nie znaczy, że jak nie zakładasz garsonki czy garnituru i nie idziesz do urzędu, to już nic nie robisz. Wychowywanie dzieci to jest nic? Kobiety najczęściej wiedzą czego chcą. Te które nie czują macierzyństwa nie muszą przecież rodzić dzieci. Jednak te, które widzą sens i odnajdują się w tym, powinny być traktowane na równi z tymi co pracują zawodowo.

I nie dyskryminujemy mężczyzn chcących być etatowymi ojcami, pozwólmy im wspierać swoje pracujące żony. Tak jak to robił Rysio.

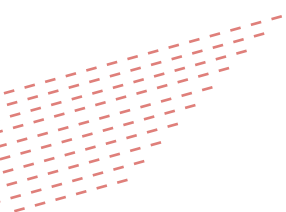
Jak być szczęśliwym aktorem?

Ja mam komfort, bo znalazłam swoje miejsce i idę do pracy z przyjemnością. Jest fajna grupa ludzi, nie muszę mówić nic wbrew sobie i dlatego mam poczucie harmonii wewnętrznej. Każdego dnia trzeba starać się być szczęśliwym, dostrzegać swoje szczęście, nauczyć się tak żyć, by móc zorganizować czas dla siebie. To może banal, ale jak ty jesteś zadowolona, to i otoczenie wokół będzie zadowolone. Należy przywiązywać wagę do codzienności i cieszyć się robieniem zakupów, gotowaniem, wkładaniem kwiatów do wazonu i robieniem deseru. Jestem miłośniczką codzienności, bo to też jest twórczość.

Mieszkamy poza Warszawą, więc u nas żyje się z porami roku: jest czas zbiorów, czas palenia w kominku i czas siewu. Lubię wiosnę, kiedy wszystko zaczyna żyć na nowo, kielkuje zielona trawa, drzewa puszczają pąki. W mieście tego się nie widzi, a tutaj mamy poczucie radości, że jesteśmy częścią natury. Większość stresów i nieporozumień zostawiam w stolicy, a pozostałe w drodze powrotnej do domu. To jest mój sposób na odreagowanie. Warto szukać cierpliwie własnych rozwiązań. Prawie godzinna droga powrotna wycisza wszelkie moje negatywne emocje.

Lubię gotować i mam taką ambicję, żeby przekazać przepisy swoim dzieciom: jak upiec prawdziwy makowiec, ubić prawdziwą bitą śmietanę, usmażyć prawdziwe konfitury. Bywa, że już teraz moi chłopcy przychodzą ze swoimi dziewczynami i proszą, żebym wytłumaczyła, jak robię ciasto albo ich ulubione danie. Robię to z wielką przyjemnością. Dziewczyny słuchają i mam nadzieję, że zapamiętają. Nie dalej jak jesienią zeszłego roku pokazywałam im, jak robię krem z pomidorów.

Nie mogły uwierzyć, że może to być takie proste. Mogłoby się wydawać, że umiałam to od urodzenia, a po prostu trzeba chcieć się tego nauczyć. Zbierałam przepisy, eksperymentowałam w kuchni i miałam ambicję gotować mojej rodzinie dobre rzeczy, żeby mogli poznawać wielość smaków. Moja mama mówiła, że będzie mi ciężko, bo mam dwie lewe ręce. A jak widać wiele osób palce oblizuje po moich daniach. I dlatego mówię, że w robieniu zakupów i w gotowaniu można odnaleźć radość .. niezależnie od odgrywanej roli na planie czy w życiu. ■





Pyszny deser na dobry humor – dobrze smakuje do białego wina

Potrzebne są owoce, dużo jabłek, śliwki, brzoskwinia albo mrożonka owocowa.

Pokrojone owoce, ale nie za drobno wkładasz do naczynia żaroodpornego.

I robimy kruszonkę: mąka, masło i cukier, pokruszone migdały

Wygniatasz i masz gotową kruszonkę.

Kruszonką posypujesz owoce i dajesz do piekarnika, aż się kruszonka przyrumieni, ale żeby owoce się nie „rozpadły”.

Można to robić w dużym naczyniu albo w porcjach w kilku kokilkach.

Nie zapominamy o odrobinie serca, bo bez niego każde danie staje się paszą!

Kotły na Kamczatce





www.geopic.pl

Ogień, lawa, siarka to niezmiennie atrybuty diabła. Gotująca się w wielkich kotłach czarna smoła w okrutnie wyrafinowany sposób miała zadawać męki jęczącym grzesznikom.

I choć dziś raczej nikt na serio nie traktuje takich przedstawień piekła, to stworzony przed wiekami obraz, utrwalony na licznych obrazach, nadal tkwi w naszej świadomości.

Jeśli ktoś chciałby na własne oczy zobaczyć takie piekło, powinien wybrać się na Kamczatkę.

Piekielny wygląd ten leżący w azjatyckiej części Rosji półwysep zawdzięcza niezwykłym zjawiskom przyrodniczym. Uformowany przez procesy wulkaniczne ma na swym terytorium 130 wulkanów z czego 30 czynnych jest do dzisiaj. Geologiczne ukształtowanie sprawia, że znajdziemy tutaj też gorące źródła, gejzery, fumarole i wulkany błotne.

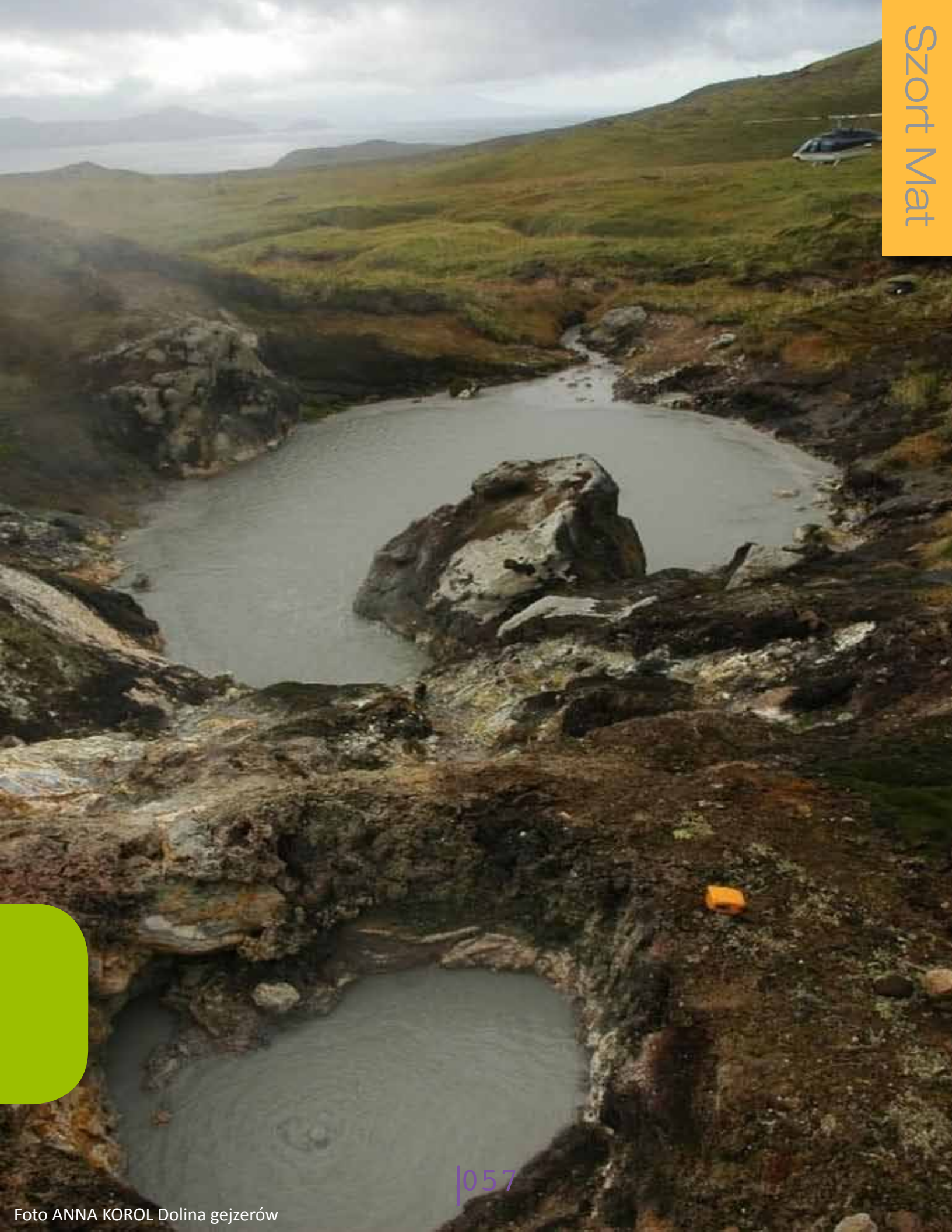


Fumarole – to otwory w ziemi, przez które na powierzchnię wydobywają się gazy pochodzenia wulkanicznego, to również określenie samych wyziewów, głównie pary wodnej, chlorowodoru i dwutlenku siarki, powodującego zabarwienie miejsca na żółto.



Wulkany błotne – nie przypominają wyglądem typowych wulkanów. Są prawie płaskie lub tworzą niewielki stożki z kraterem, przez który wystaje się gorąca lawa błota. Przypominają trochę bulgoczącą czarną smołę.

Gorące źródła – utożsamiane są często z **gejzerami**, obie nazwy stosowane są wymiennie. Nie jest to jednak zupełnie to samo. Rzeczywiście w obu przypadkach gorąca woda wyrzucana jest na powierzchnię ziemi, jednak w przypadku gejzerów wyrzut następuje w regularnych odstępach czasu.



KOŚCIO



ŁŁEK KOCIOŁEK

Gdy mam pod „pierwszą krzyżową” stołek,
A przed sobą pełnym gorącego jadła
Kocioł lub kociołek
Wtedy stawiam 100 dukatów
Temu, co sens tych słów obali:
„ – Primus vivere deinde philosophari – ”

Janusz Gajek
Pseudonim: GASTOL

